Lwów, Niedziela dnia 2. Marca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 5.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

BANK HIPOTECZNY KRAJOWY.

II.

Do wewnętrznych przyczyn upadku gospodarstwa wiejskiego u nas, należy przedewszystkiem brak przygotowawczych środków właśnie tej natury, jakich w przewidywaniu rywalizacji na targach europejskich obcego zboża, chwyciły się inne narody. Przeciwnie nawet, zamiast wzmocnienia się widzimy pewną apatję wskutek klęsk elementarnych, nieurodzaju, wylewów rzek i zarazy na bydło nieustannie Galicję nawiedzających. Dodawszy do tego utrudnienia transportowe, jakie stawiają nam zarządy kolei, wprowadzając dyferencjonalne taryfy, brak opieki nad handlem, brak taniego rolniczego kredytu, a nie możemy się dziwić, że rolnictwo upada i coraz bardziej upadać musi.

Już to wogóle, my zawsze tak się urządzamy, że wszelkie reformy, czy w życiu politycznem, czy ekonomicznem, zastają nas nieprzygotowanymi, a gdy spostrzeżemy tę naszą stagnację, zrywamy się na równe nogi, i zamiast iść wolno krok za krokiem, robimy forsowne skoki naprzód. Prawda, że jesteśmy w wielu rzeczach zacofani, ale zacofani po swojemu, dlatego też i po swojemu trzeba nam się poruszać. Tyloletnie tradycje narodowe, charakter ludu, natura terenu naszej pracy i wiele innych względów miejscowego znaczenia, nie mówiąc już o zewnętrznych przeszkodach, raz przecie wyrobić powinny w nas przekonanie, że to co pomaga kowalowi, zabija szewca. Dlatego też wszelkie macanie z zawiązanemi oczami ran naszych, wszelkie doraźne środki ratunku, nie polepszą sytuacji; mogą przedłużyć konanie, ale go nie usuną dopóty, dopóki nie zrobimy tego samego, co każdy roztropny kupiec, fabrykant, lub przemysłowiec robi będący w podobnem jak rolnictwo położeniu. Trzeba raz wziąć nasze księgi rachunkowe przed siebie, a obliczywszy skrupulatnie credit i debet, sprawdziwszy zasoby jakie nam zostają do dyspozycji, zabrać się albo do likwidacji, albo do reformy spraw naszych. Lepiej późno zacząć a dobrze i radykalnie, niż wlec ten żywot w nieustannych kłopotach.

Dokładna rachunkowość pojedynczego gospodarza, już mu da możność zorjentowania się w położeniu i zdecyduje o jego przyszłości.

Gdyby z tak pojedynczych rachunków dała się złożyć całość w rubryki statystyczne ujęta, dowiedzielibyśmy się wielu ciekawych rzeczy, a choćby i tej gdzie się podziały owe setki milionów zaciągniętych na dobra ziemskie w formie pożyczek hypotecznych. Czy powiększyły one i o ile bogactwo narodowe podnosząc wartość tej własności, czy też zmarnowane zostały na cele nieprodukcyjne i wywiezione za granice kraju?

Przy tych i wielu innych bocznych korzyściach dobrej statystyki, mielibyśmy jeszcze i tę, że wartość posiadanej ziemi dałaby się raz unormować podług renty, jakie ona w danej chwili i w danych warunkach przynosić może. Nie ulega wątpliwości, że my dotąd przeceniamy sobie tę wartość naszej ziemi, a jeszcze więcej wartość naszej osobistej pracy, jaką tym zajęciom poświęcamy. Nie mając co robić z sobą, młodzież nasza z byle jakiemi zasobami kapitału i wiadomości rolniczych, ciśnie się do gospodarstwa wiejskiego, kupuje ziemię za drogo, płacąc ledwie trzecią część jej wartości i łudzi się tem, że potrafi z tej roli wydobyć tyle dochodu, którym prócz zwyczajnych ciężarów, pokryje procenta od długów, własność tę ciążących, a nawet same długi sposobem amortyzacyjnym zapłaci. Są to marzenia i nic więcej; ziemia jako najpewniejsza lokacja kapitałów, daje wiele gwarancji, ale mało renty, a z pewnością mniej niż te same papiery publiczne, które na jej debet figurują... Mając ledwie ogólne elementarne wykształcenie, a gospodarskie prawie żadne, z małym kapitalikiem bierze się taki obywatel do kupna majątku, gospodaruje z pomocą niewykształconych ekonomów, karbowników i tym podobnej służby, w przekonaniu, że ciężko pracuje, i że za tę pracę ziemia powinna mu dać przynajmniej przyzwoite utrzymanie. Tymczasem samo to utrzymanie częstokroć przenosi 15 i 20% od włożonego kapitału, a rzeczywiście podług cen pracy innych i 2% nie warte...

Otóż w tem podług nas, leży pierwsze źródło niepowodzenia większych gospodarstw naszych, bo się ma do czynienia z przecenioną wartością ziemi, przecenioną osobistą pracą gospodarza i z droższym o wiele kredytem, niż ziemia dać go może.

Co do włościan, to jakkolwiek dobrobyt ich zależy od pracy rąk własnych i mniej narażony na niebezpieczeństwa, które niszczą większych właścicieli, to jednak sytuacja drugich musi i na nich oddziaływać niekorzystnie i wcześniej czy później zniewolić do pewnej reformy. Czy upadek gospodarstwa folwarcznego, czy poprawa jego przez wprowadzenie maszyn zastępujących ręczną pracę, pozostawia włościaninowi więcej wolnego czasu do dyspozycji, z którym właśnie on nie wie co ma robić marnując bezprodukcyjnie po jarmarkach, odpustach i karczmach. Do takiego marnotrawstwa czasu, będącego całym kapitałem włościanina, przyczynia się wielce zbyteczne rozdrobienie jego własności przez podziały. Z natury konserwatysta, trzyma on się tego skrawka swej ziemi, która ledwie jedną trzecią lub czwartą część jego pracy zużytkować może i siedzi we wsi z założonemi rękami tworząc proletarjat rolniczy nie mający warunków bytu.

Zawcześnie i niespodzianie włościanin nasz ze stanu dzieciństwa przeszedł do stanu dojrzałości. Jeżeli za czasów pańszczyźnianych wyzyskiwanym był przez panów, to przynajmniej ciążył na nim mus pracy; dziś, przy całej swobodzie swej osobistej, nie oświecony i nie kierowany przez nikogo, stał się niewolnikiem żydowskim i cięższą jeszcze niż przedtem odrabia mu pańszczyznę, przeciw której wobec równości konstytucyjnej nie ma żadnego hamulca. Dopóki można było ciągnąć ze szlachty, żydzi ciągnęli nie zwracając uwagi na włościan, lecz to źródło dochodów wysycha, rzuciło się żydostwo na wioski i z butelką wódki w ręku, objęli kompletny patronat nad ludem. Cóż więc tego rodzaju pomoc

jak hipoteczne pożyczki mogą przynieść dobrego włościanom? Sądzimy, że ich tylko dobiją, a żydom i innym lichwiarzom dadzą możność odebrania swych należytości, których dziś już nie śmią i nie mogą wyegzekwować. Pieniądze dla nieumiejącego z nich korzystać są tem, czem miecz w rękach szalonego; widzimy to nietylko na włościanach, ale i na innych klasach więcej wykształconych. Jeżeli kraj rzeczywiście chce przyjść z pomocą ludowi, niech go nauczy korzystnie pracować i tę pracę mu wyszuka, a on już sobie da radę bez pożyczki.

Włościanin nasz potrzebuje kredytu, ale drobnego, chwilowego kredytu, w razie jakiejś klęski, choroby, na przednowku, kredytu, po któryby nie potrzebował iść do ilchwiarza, sprzedając naprzód swą pracę. Kasy zaliczkowe założone po gminach choćby z małemi na początek funduszami, kasy zostające pod ich własnym zarządem, ścisłą kontrolą władz autonomicznych, będą aż nadto wystarczającemi do opędzenia potrzeb włościanina i wyrobnika wiejskiego. Na taki cel zaciągnięta przez kraj pożyczka w odpowiedniej sumie i oddana gminom pod gwarancją Rad powiatowych, może chwilowo wyswobodzić ludność wiejską od duszącej go zmory lichwiarstwa. Będzie to pierwszy krok dopiero do ulżenia nędzy, za którym muszą iść te, o których wyżej wspomnieliśmy.

Wyłożywszy pokrótce zapatrywania się nasze na potrzeby mieszkańców wiejskich, mamy już w części odpowiedź na pierwsze pytanie, postawione w poprzednim numerza Tygodnia. Teraz odłożywszy na bok te wszystkie względy, mówiące przeciw założeniu instytucji hipotecznej dla włościan, rozpatrzmy się na chwilę w owych dziesięciu punktach wskazanych przez ankietę do ułożenia statutu przyszłego Banku, czy rzeczywiście są one wynikiem zamiarów rezolucji sejmowej. Sejm myślał o instytucji czysto hipotecznej dla posiadłości włościańskiej, gdy tymczasem ankieta chce ją mieć Bankiem krajowym nietylko dla włościan, miast i miasteczek, ale nawet dla obrotu handlu, eskonty weksli, dawania zaliczek na zastawy i innych czynności bankowej natury. Że taki instytut finansowy byłby dla nas potrzebny, o tem wątpić nie można; i chociaż na proponowaną przez ankietę jego organizację zgodzić się niepodobna, jednak gdy chodziło tu przeważnie o utworzenie instytucji hipotecznej włościańskiej, zdaje nam się że ankieta przekroczyła swoje attrybucje. Otóż i taki Bank, jakim go chciał mieć Sejm krajowy, bez względu na jego użyteczność lub nieużyteczność, zdaje nam się będzie przedwczesnym w obec bardzo mało uregulowanych dotąd hipotek posiadłosci włościańskich, i wadliwości samej organizacji tych hipotek. Przy takich czynnikach opiekujących się tą nową hipoteką, jakie dziś istnieją, jeszcze i za lat dziesięć ukończenie jej regulacji nie nastąpi, gdy tymczasem te co już są przy niedostatecznych siłach do ich obsługi, wytworzyć muszą prawdziwy chaos hipoteczny, gorszy od tego, niż gdyby wcale hipoteki nie było. Takie są zdania w tej mierze ludzi kompetentnych, na które i my się piszemy, widząc jakim to częstym i różnorodnym przemianom ulega drobna własność włościańska, do notowania których potrzeba będzie zmuszać właścicieli. Kończąc na tem dzisiejszą pogadankę naszą, w następnym artykule odpowiemy na dwa inne pytania, któreśmy sobie w założeniu postawili.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

VI.

(Ciąg dalszy.)

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w najlepszem usposobieniu. Stół zastawiony był pod werendą; świece objęte szklannemi kielichami paliły się migotliwem światłem, a ćmy rojem krążąc kolo światła, tłukły się o szklanne ściany kielichów; listki dzikiego winogradu szeleściały kołysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył się wielki złoty księżyc. Ostatnia rozmowa między mną, Hanią i Selimem nastroiła nas na ton dziwnie łagodny i przyjaźny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziałał i na starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika wypogodzone były jak niebo.

Po herbacie pani d'Yves zaczęła kłaść pasjans, ojciec zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdyż zaczął opowiadać o dawnych czasach, co u niego zawsze było znakiem dobrego humoru.

— Pamiętam raz — mówił — staliśmy niedaleko jakiejś wioski w Krasnostawskiem; noc, pamiętam, była ciemna choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił go nad świecę) — człowiek był zmęczony, jak żydowska szkapa, stoimy tedy sobie cicho a wtem...

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był je nieraz słyszał, powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniej, zakładał okulary na czoło i kiwając głową, powtarzał: „uhum! uhum!“ albo też wykrzykiwał: „Jezus, Marja! — no i co?“ My z Selimem, oparłszy się o siebie ramionami, z utkwionemi oczyma w ojca łowiliśmy z chciwością jego słowa — ale wrażenia na żadnej twarzy nie malowały się tak wybitnie jak na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce biły na twarz; wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Yves, spojrzawszy nań uśmiechnęła się i pokazała go oczyma Hani, a potem obie poczęły mu się przypatrywać, bo bawiła je ta twarz, jakby zwierciadło, albo jak szyba wodna, w której odbija się wszystko, co tylko zbliży się do przezroczy.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydlata ustawicznie przesuwa mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej i takiej rodziny zgodnej, kochającej się, szczęśliwej; stary, posiwiały weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzą się oczy, dalej jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej! dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu!

Tymczasem wybiła godzina dziesiąta. Selim zerwał się, bo miał rozkaz wracać na noc do domu. Postanowiliśmy, że całe towarzystwo odprowadzi go jeszcze aż do krzyża stojącego na końcu alei lipowej, blizko drugiego kołowrotu, ja zaś konno dalej jeszcze, bo aż za łąki. Wyruszyliśmy tedy wszyscy, prócz Kazia, który rozespał się już w najlepsze.

Ja, Hania i Selim wysunęliśmy się naprzód, my obaj prowadząc konie za cugle, Hania między nami we środku. Starsi we troje szli za nami. W alei ciemno było; księżyc tylko przedzierając się przez gęste liście, pstrzył srebrnemi plamami ciemną drogę. — Zaspiewajmy co — rzekł Selim — jaką starą pieśń a łagodną, naprzykład o Filonie. — Tego już nigdzie nie spiewają — odparła Hania — ja umię inną: „Oj jesienią, jesienią więdnie liść na drzewie!“ — Ułożyli się wreszcie, że będą spiewać naprzód o Filonie, co bardzo lubił i ksiądz i ojciec, bo im to przypominało dawne czasy, a potem: „Oj jesienią, jesienią!“ Hania oparła białą rączkę o grzywę Selimowego konia i zaczęli spiewać:

„Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły,
„A tam ktoś klaszcze za borem,
„Pewnie mnie czeka mój Filon miły
„Pod ulubionym jaworem.

Gdy skończyli, ozwały się z ciemności za nami głosy starszych: „brawo! brawo! zaspiewajcie jeszcze co.“ Ja wtórowałem jak mogłem, alem nie umiał dobrze spiewać, a Hania i Selim mieli śliczne głosy, szczególniej zaś Selim. Czasami, gdym zbyt przekręcił nutę, śmieli się ze mnie oboje. Potem zanucili jeszcze kilka pieśni, podczas których myślałem sobie: dlaczego ta Hania trzyma rękę na grzywie konia Selima, a nie mego. Ten koń szczególnej jej się podobał. Chwilami przytulała się do jego szyi, lub klepiąc ją ręką, powtarzała: „Mój koniczek, mój!“ a łagodne zwierzę parskało i wyciągało rozwarte chrapiące nozdrza w kierunku jej ręki, jakby szukając cukru. Wszystko to sprawiło, że posmutniałem znowu, i nie patrzyłem na nic, tylko na tę rękę ciągle spoczywającą na grzywie.

Tymczasem doszliśmy do krzyża, koło którego kończyły się lipy. Selim począł mówić wszystkim: dobranoc! pocałował w rękę panią d'Yves, a chciał pocałować i Hanię, ale nie pozwoliła na to, przyczem spojrzała na mnie jakby z obawą. Zato kiedy już Selim siedział na koniu, zbliżyła się doń i poczęła z nim rozmawiać. Przy blasku księżyca, którego w tem miejscu nie przesłaniały lipy, widziałem jej oczy wzniesione ku Selimowi i słodki wyraz twarzy. — Niech pan nie zapomina o panu Henryku — rzekła mu. — Będziemy zawsze razem bawić się i razem spiewać, a tymczasem dobranoc! — To rzekłszy podała mu rękę, poczem starsi wraz z nią zwrócili się ku domowi, my zaś z Selimem ku łąkom.

Jechaliśmy czas jakiś w milczeniu otwartą drogą bez drzew. Naokół jasno było tak, że możnaby policzyć igiełki na nizkich krzakach jałowcu rosnącego po drodze. Od czasu do czasu tylko prychnęły konie lub strzemię szczęknęło o strzemię. Spojrzałem na Selima: był zamyślony i oczyma wodził po głębiach nocnych. Miałem nieprzezwyciężoną chęć mówić o Hani: potrzebowałem mówić o niej koniecznie, potrzebowałem wyspowiadać się komu z całodziennych wrażeń, obgadać każde jej słówko, a ani rusz nie umiałem zacząć tej rozmowy Selimem. Ale Selim zaczął ją pierwszy, bo nagle ni ztąd ni zowąd przechylił się ku mnie i objąwszy mnie za szyję ucałował w policzek i wykrzyknął: — Ach mój Hen-

ryku! jaka śliczna i miła ta twoja Hania! Niech tam Józię licho porwie! — Wykrzyknik ten zmroził mnie jak nagłe tchnienie zimowego wiatru. Nie odpowiedziałem nic, tylko odjąłem rękę Selima ze swojej szyi i odsunąwszy go zimno jechałem dalej w milczeniu. Widziałem, że się zmięszał bardzo i zamilkł także, a po chwili zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Czy ty się gniewasz o co?

— Dziecko jesteś.

— Możeś zazdrośny?

Zatrzymałem konia.

— Dobranoc ci Selimie!

Widocznem było, że nie miał ochoty jeszcze się żegnać, ale wyciągnął machinalnie rękę do uścisku. Potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja szybko zwróciłem konia i pokłusowałem do domu.

— Dobranoc! — zawołał Selim.

Stał jeszcze chwilę na miejscu, potem zwolna odjechał w swoją stronę.

Zwolniwszy biegu jechałem stępo. Noc była śliczna, ciepła, pokryte rosą łąki wydawały się jak rozległe jeziora; z łąk dochodziły mnie głosy derkaczy, bąk huczał w dalekich trzcinach. Podniosłem oczy na gwiazdzisty bezmiar: chciało mi się modlić i płakać.

Nagle usłyszałem za sobą tentent konia. Obejrzałem się, był to Selim. Dognał mnie, zrównał się ze mną i zastąpiwszy mi drogę, rzekł wzruszonym głosem:

— Henryku! wróciłem się, bo tobie coś jest. Z początku pomyślałem; jeśli się gniewa, niech się gniewa! Ale potem zrobiło mi się ciebie żal. Nie mogłem wytrzymać. Powiedz co tobie jest? Może ja za dużo mówiłem z Hanią? Może ty ją kochasz? Henryku?

Łzy cisnęły mi gardło, i nie umiałem na razie nic odpowiedzieć. Ale gdybym był poszedł za pierwszem natchnieniem i rzucił się na poczciwą pierś tego chłopaka i wypłakał się na niej i wyznał wszystko! Ach! wspomniałem już, że ile razy w życiu przyszło mi zetknąć się z wylaniem serdecznem i samemu serdecznie pierś odkryć, tyle razy jakaś niepohamowana duma przekorna, którą trzeba było łamać jak skałę oskardem, mroziła mi serce i więziła słowa w ustach. Ileż to szczęścia popsuło mi się w życiu przez tę dumę, ileż razy żałowałem jej później, a jednak w pierwszej chwili nie umiałem się jej oprzeć.

Selim powiedział: „Żal mi się ciebie zrobiło!“ a zatem litował się nademną — to już wystarczało, ażeby mi zamknąć usta.

Milczałem więc, a on patrzył na mnie swemi anielskiemi oczyma, i mówił z akcentem prośby i skruchy w głosie:

— Henryku! Może ty ją kochasz? Ona mi się, widzisz, podobała, ale i na tem koniec. Chcesz, to nie powiem do niej ani słowa więcej. Powiedz: może ty ją już kochasz? Co ty masz do mnie?

— Nie kocham się i do ciebie nie mam nic. Jestem trochę słaby. Zleciałem z konia, rozbiłem się. Ja się wcale nie kocham, tylko zleciałem z konia! Dobranoc ci!

— Henryku! Henryku!

— Powtarzam ci, że zleciałem z konia.

Rozstaliśmy się znowu. Selim ucałował mnie na drogę i odjechał spokojniejszy, bo istotnie prawdopodobnem było, że to upadek podziałał na mnie w ten sposób, ja zaś zostałem sam, z sercem ściśniętem, z jakimś głębokim żalem, ze łzami, które ściskały mnie za gardło, wzruszony dobrocią Selima, zły na siebie i przeklinający się w duszy, żem go odepchnął. Puściłem konia galopem i za chwilę byłem przed domem.

Okna sali bawialnej były oświecone, dochodził przez nie dźwięk fortepianu. Oddałem konia Frankowi i wszedłem do sali. To Hania grała jakąś piosenkę, której nie znałem, grała sobie fałszując z całem zaufaniem dyletantki melodję, bo niedawno się zaczęła uczyć, ale aż nadto wystarczająco, aby zachwycić o wiele więcej rozkochaną niż muzykalną moją duszę. Gdy wszedłem, uśmiechnęła się do mnie nie przestając grać, ja zaś rzuciłem się na fotel stojący naprzeciwko i począłem się na nią patrzeć. Przez pulpit widać było jej spokojne, pogodne czoło i regularnie narysowane brwi. Powieki miała spuszczone, bo patrzyła na palce. Grała jeszcze przez czas jakiś, potem ustała i podniosłszy oczy na mnie, rzekła pieściwym, miękkim głosem:

— Panie Henryku?

— Co Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Zaprosił pan na jutro pana Selima?

— Nie. Ojciec życzy sobie, żebyśmy jutro pojechali do Ustrzycy, bo przyszedł od matki pakiet dla pani Ustrzyckiej.

Hania umilkła i uderzyła kilka cichych akordów, ale widocznie czyniła to tylko machinalnie, myśląc o czem innem, bo po chwili znowu podniosła na mnie oczy:

— Panie Henryku?

— Co Haniu?

— Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Czy bardzo ładna ta Józia z Warszawy — co?

A!! tego już było nadto! Gniew pomięszany z goryczą ścisnął mi serce, Zbliżyłem się szybko do fortepianu, a usta mi się trzęsły, gdym odpowiedział:

— Nie ładniejsza od ciebie. Bądź spokojna! Możesz śmiało próbować swych wdzięków na Selimie!

Hania aż wstała z taboretu, a gorący rumieniec obrazy oblał jej policzki.

— Panie Henryku! co pan mówi?

— To co ty zamierzasz.

To rzekłszy chwyciłem za kapelusz, skłoniłem się jej i wyszedłem z pokoju.

VII.

Łatwo się domyśleć jak przepędziłem noc po owych calodziennych zmartwieniach. Położywszy się w łóżko, przedewszytkiem zapytałem sam siebie, co się stało i dlaczego wyprawiałem takie awantury przez cały dzień? Odpowiedź była łatwa; nic się nie stało, tj. ani Selimowi ani Hani nie mogłem zarzucić nic takiego, coby nie dało się wytłumaczyć, bądź to uprzejmością obowiązującą wszystkich jednakowo, bądź ciekawością, bądź wzajemną sympatją. Że Selim podobał się Hani, a ona jemu, to było więcej niż pewne, ale jakiež miałem prawo burzyć się z tego powodu i mącić pokój wszystkim. Nie oni więc zawinili, tylko ja, ta myśl powinna była mnie uspokoić, ale stało się przeciwnie. Jakkolwiek bądź tłómaczyłem sobie wzajemne ich stosunki jakkolwiek powtarzałem sobie, że istotnie nic się nie stało, jakkolwiek uznawałem, że niesłusznie wyrządziłem niejedną przykrość obojgu, przecież czułem jakąś niewyraźną groźbę zawieszoną nad sobą w przyszłości, to zaś, że groźba owa była niewyraźna, że nie dała się uchwycić w formę zarzutu Mirzie lub Hani, czyniło ją dla mnie tem dotkliwszą. Prócz tego pomyślałem sobie jeszcze jedno. Oto że nie mając prawa nic im zarzucić. mam jednak dostateczny powód być niespokojnym. Były to wszystko subtelności, rzeczy prawie nieuchwycalne, w których umysł mój, do tej pory prosty, plątał się i męczył jak wśród ciemności i manowców. Czułem się po prostu zmęczony i przybity, jakby po odbyciu długiej podróży, a oprócz tego jeszcze jedna myśl najgorsza, najboleśniejsza, wracała mi ustawicznie do głowy, że to ja sam, wyraźnie ja, przez swoją zazdrość i przez swoją niezręczność popycham fatalnie ku sobie tych dwoje. O! na tyle świadomości zdobyłem się już wówczas, jakkolwiek nie miałem żadnego doświadczenia. Takie rzeczy się odgaduje. Co więcej: wiedziałem, że wśród owych błędnych ścieżek będę i dalej szedł. nie tam, gdzie zechcę, ale tam, gdzie popchnie mnie uczucie, i inne nieraz chwilowe i nieznaczące okoliczności, które jednak bywają ważne i od których nieraz szczęście zależy. Co do mnie, byłem bardzo nieszczęśliwy, a chociaż komuś umartwienia owe moje mogą się wydawać błahe, to jednak powiem, że wielkość każdej niedoli nie zależy od tego, jaką ona jest sama w sobie, ale jak ją ktoś odczuwa.

A jednak nic się nie stało! nic się jeszcze nie stało! Leżąc w łóżku powtarzałem sobie te słowa dopóty, aż zwolna myśli poczęły mi się mącić, rozpraszać i wpadać w zwykły bezład senny. Rozmaite obce pierwiastki poczęły mi się pod nie podsuwać. Opowiadania ojcowskie, osoby i wypadki tych opowiadań łączyły się z chwilą obecną, z Selimem, z Hanią i z moją miłością. Może i miałem trochę gorączki, tembardziej żem się potłukł. Knot wypalonej świecy zapadł nagle w lichtarz: pociemniało, potem znów wyskoczył błękitny płomień, potem mniejszy i jeszcze mniejszy, aż wreszcie jeszcze raz konające światło błysnęło potężnie i zagasło. Musiało już być późno, za okiennicą piały koguty; usnąłem ciężkim i niezdrowym snem, z którego rozbudziłem się nieprędko.

Nazajutrz, pokazało się, że zaspałem porę śniadania, a zatem i sposobność widzenia Hani aż do obiadu, bo do godziny drugiej miała lekcje z panią d'Yves. Ale zato, wyspawszy się dobrze, nabrałem otuchy i nie spoglądałem na świat tak czarno. Będę dla Hani dobry, uprzejmy i tem nagrodzę jej wczorajszą moją opryskliwość, myślałem sobie. Tymczasem nie przewidziałem jednej okoliczności, oto że Hani nietylko dokuczyły ostatnie moje słowa, ale, że ją także i obraziły. Gdy Hania zeszła wraz z panią d'Yves na obiad, porwałem się ku niej żywo i nagle, jakby mnie kto wodą oblał! Cofnąłem się napowrót w siebie razem ze swoją serdecznością, nie dlatego, żebym chciał to zrobić, ale dlatego, że zostałem odepchnięty. Hania powiedziała mi bardzo grzecznie: dzień dobry! ale tak zimno, że odrazu odeszła mnie ochota do serdecznych wylewów. Poczem siadła obok pani d'Yves i przez cały

obiad nie zdawała się już więcej dostrzegać mojej egzystencji. Wyznaję, że w tej chwili egzystencja owa wydała mi się tak marną i tak opłakaną, iż gdyby mi ktoś dawał za nią trzy grosze, powiedziałbym mu, że przepłaca. Cóż jednak miałem robić!? Obudziła się we mnie chęć uporu i postanowiłem odpłacić Hani takąż samą monetą. Dziwna to rola względem osoby, którą się kocha nad wszystko. Prawdziwie mogłem powiedzieć: „bluźnią ci usta, choć płacze serce“ Przez cały obiad nie mówiliśmy ani razu ze sobą wprost, tylko za pośrednictwem osób trzecich. Gdy Hania naprzykład mówiła, że nad wieczorem będzie deszcz, zwracała się do pani d'Yves, na co ja również pani d'Yves, a nie Hani, odpowiadałem, że deszczu nie będzie. To dąsanie się i przekomarzanie wzajemne miało nawet dla mnie pewien drażniący urok. Ciekawy jestem, moja panienko, jak my to będziemy obchodzić się ze sobą w Ustrzycy, bo przecie mamy jechać do Ustrzycy, myślałem sobie w duchu. Naumyślnie w Ustrzycy spytam ją wobec obcych o coś, ona musi przecie odpowiedzieć, i tak te lody pękną! Obiecywałem sobie wiele po tej bytności w Ustrzycy. Wprawdzie miała jechać z nami pani d'Yves, ale co to szkodziło! Tymczasem szło mi daleko więcej o to, żeby nikt z obecnych przy stole nie spostrzegł naszych gniewów. Jeśli ktoś spostrzeże, myślałem, spyta czy się gniewamy; zaraz wszystko wyjdzie na wierzch i wszystko się wyda! Na samą myśl o tem, rumieniec bił mi na twarz, a obawa ściskała mi serce. Ale, o dziwo! spostrzegłem, że Hania daleko mniej się tego boi, niż ja, dalej, że widzi moją bojaźń i w duszy sobie z niej dworuje. Z kolei czułem się tem upokorzony, ale na razie nie było co robić. Czekała mnie Ustrzyca, więc uchwyciłem się tej myśli, jak deski zbawienia.

Ale widocznie myślała o niej i Hania, bo po obiedzie, przyniósłszy ojcu kawę czarną, pocałowała go w rękę i rzekła:

— Proszę pana, mogę ja nie jechać do Ustrzycy?

Ah! jaka niegodziwa! jaka niegodziwa! ta ukochana Hania, pomyślałem sobie w duszy.

Ale ojciec, który był trochę głuchy, nie dosłyszał odrazu, tylko ucałowawszy dziewczynkę w czoło, rzekł:

— Czego tam chcesz, kobietko?

— Mam jedną prośbę.

— Jaką?

— Mogęż nie jechać do Ustrzycy?

— A cóż to, czy chora jesteś?

Jeżeli powie, chora, pomyślałem znowu, wszystko przepadło, tembardziej, że ojciec jest w dobrym humorze.

Hania jednak nie kłamała nigdy, nawet niewinnie, i dlatego, zamiast spędzić ów brak chęci na ból głowy, odrzekła:

— Nie. Zdrowa jestem, ale nie mam ochoty.

— A no, to pojedziesz do Ustrzycy, bo trzeba żebyś jechała.

Hania dygnęła i nie rzekłszy ani słowa odeszła. Co do mnie byłem uradowany z całej duszy, i gdyby tylko uchodziło, jakżebym chętnie był pokazał Hani na palcach: zyg, zyg, zyg!

Po chwili jednak, kiedy zostaliśmy z ojcem sami, spytałem go, dlaczego kazał jej jechać.

— Chcę, żeby sąsiedzi przyzwyczaili się widzieć w niej naszą krewnę. Hania jadąc do Ustrzycy, czyni to niejako w imieniu twojej matki, rozumiesz?

Nietylkom rozumiał, ale chciało mi się ucałować za tę myśl poczciwego ojca.

(C. d. n.)

LEON SAPIEHA.

(*Dokończenie*).

Nadmieniliśmy poprzednio, że usuwał się Sapieha zawsze od tajemnych spiskowych czynności. Skoro jednak wprowadzenie w czyn konstytutucji w kraju naszym powołało obywatelstwo do życia publicznego, był Sapieha jednym z pierwszych, który wystąpił jako kandydat na posła. W mieście Lwowie nie miała kandydatura jego powodzenia, jakkolwiek, nie należy tego przepomnieć, należał Sapieha przez kilka lat do Rady miejskiej lwowskiej i to w czasach najcięższych, bo w czasach reakcji i ciążącego nad krajem stanu oblężenia.

Jako członek Rady miejskiej we Lwowie, zajmował Sapieha stanowisko odpowiednie swoim zdolnościom, bo był on przewodniczącym sekji finansowej.

W ówczesnym, wielce jeszcze uszczuplonym, zakresie działania reprezentacji miejskiej nie mógł on wiele zdziałać i Lwów brał udział w skutkach działalności Sapiehy tylko o tyle, że jako stolica kraju musiał w pierwszym rzędzie doznawać pomyślniejszego rozwoju, będąc punktem centralnym ruchu kolejowego i ogniskiem innych instytucji.

Nim się w kraju rozwinął większy ruch Stowarzyszeń i nim się Towarzystwo gospodarskie zreorganizowało, ożywiały coroczne walne zgromadzenia Tow. gosp. cały kraj, bo zewsząd zjeżdżała się szlachta, ale przedewszystkiem, był ruch ożywiony we Lwowie przez dosyć liczne zjazdy członków Towarzystwa i trwające przez kilka dni obrady. W czynnościach Towarzystwa gospodarskiego skupiało się wówczas całe życie publiczne, a całego ruchu tego głową był Sapieha.

Można powiedzieć, że w rozprawach Towarzystwa gospodarskiego zaprawiało się obywatelstwo choć w jednym kierunku do przyszłej czynności w Sejmie. Tworzyły się w łonie Towarzystwa stronnictwa, a w ich walce brało udział oświeceńsze obywatelstwo całego kraju i dziennikarstwo, o ile na to wielkie ścieśnienie swobody prasy pozwalało. Miał tam Sapieha swoich stronników i przeciwników, lecz zawsze przez bezstronność swoją utrzymywał się u steru.

Stanowisko, jakie Sapieha zajął przez przewodniczenie Towarzystwu gospodarskiemu i kredytowemu oraz przez założenie kolei żelaznych nadało mu w kraju taką przewagę, że w r. 1860, gdy zwołano pierwszy Sejm konstytucyjny w Galicji, wybrała go szlachta aż w siedmu okręgach wyborczych swoim posłem. Że Sapieha doznawał najwięcej wziętości w kołach szlacheckich wynikało to z samej natury rzeczy, ale i w innych warstwach społeczeństwa nie miał on przynajmniej żadnych nieprzyjaciół.

Żaden z magnatów polskich w Galicji nie doznawał wówczas takiej wziętości i takiego wpływu jak Sapieha. Niezawodnie było też to powodem, że przy mianowaniu pierwszego marszałka sejmowego, padł wybór na Sapiehę.

O marszałkowaniu ks. Sapiehy pisze p. Stanisław Tarnowski z uwielbieniem podobnem, z jakiem pilny i posłuszny uczeń zwykł mówić o dobrym nauczycielu, któremu zawdzięcza swoje wychowanie. Przynosi to zaszczyt uczniowi, ale i nauczycielowi służy na chwałę.

Sapieha był rzeczywiście nauczycielem a raczej mistrzem parlamentaryzmu dla naszych Sejmów. On je podchował i poduczył.

Stanowisko polityczne Sapiehy było zupełnie odpowiednie stopniowi wykształcenia politycznego, na jakiem kraj nasz się znajdował i dotąd znajduje.

„Nie mamy stronictw“ jestto zdanie, które nasze dzienniki już aż do znudzenia powtarzają i jest ono po dziś dzień prawdziwem. Nie stworzył też i Sapieha stronnictwa, podobnie jak nieudało się stworzyć go najtęższym mężom politycznym, których zresztą zaledwie kilku posiada nasz kraj. Jedni zostali izolowani, jak Smolka, inni przeszli do obozu rządowego łącząc się ze stronnictwem obcem, jak Ziemiałkowski, inni błąkają się po różnych kołach politycznych albo oczekują, skazani na bezczynność polityczną, aż kiedyś może zostaną do działania powołani, gdy kraj stanie się politycznie dojrzalszym.

Sapieha zajmował takie stanowisko w kraju, że mógł, może on jedyny oprócz Smolki, zorganizować stronnictwo.

Nie kusił się o to zapewne dlatego, że pojmował swoje stanowisko, marszałka Sejmu, inaczej niż ono się przedstawia w innych krajach. Widocznem tu było w całem postępowaniu Sapiehy, że on się uważa za pośrednika między rządem a Sejmem.

Trzymał on się polityki, zwanej utylitarną. Aby się nasz sąd nie wydał stronniczym w tej mierze powtórzymy tu słowa jego wielbiciela hr. St. Tarnowskiego, który bardzo trafnie skreślił politykę ks. Leona.

„Za punkt wyjścia, pisze hr. St. Tarnowski, „brał zawsze to, co jest i dlatego nigdy za wiele, „nigdy wszystkiego na raz nie żądał; swojego „zawsze się domagał, ale mocniejszego nie zaczepiał, żeby czasem zamiast zysku nie było straty, oto mniej więcej stanowisko, jakie w obec „rządu lub Rady państwa chciałby był widzieć „zajętem przez Sejm i dlatego w chwilach stanowczych, jak 2 marca 1867, kiedy chodziło „o wysłanie delegacji do Rady państwa lub jej „odmówienie i w roku następnym przy sprawie „rezolucji, należał do najbardziej pojednawczych „i do ustąpienia skłonnych.“

Jestto zupełnie trafne pojęcie stanowiska jakie Sapieha zajął w obec rządu i w obec centralistycznej Rady państwa. Nie tu miejsce wdawać się w krytykę tej polityki, nie tu miejsce pytać hr. St. Tarnowskiego co to jest to: *zawiele to wszystko naraz?*

Zadowalniamy się tem, że taki wielbiciel ks. Leona, jakim jest hr. St. Tarnowski, sprawdza to iż wobec rządu i Rady państwa *należał do najbardziej pojednawczych i do ustąpienia skłonnych*.

„W sprawach wewnętrznych, administracyjnych, pisze ten sam hr. St. Tarnowski, równie jak w tamtych ogłędny, nie kwapił się do zmian i reform w ustawach, wolałby dobrą praktyką naprawić niedogodności ustawy, niż dorywczą, przedwczesną zmianą, przewracać co było, a natomiast stawiać coś niepewnego, nie wyprobowanego.“

Moglibyśmy i tu stawiać polemiczne pytanie panu hr. St. Tarnowskiemu: jakieto on zmiany, jakich niedogodności w ustawach usunięcie nazywa *„dorywczem i przedwczesnem?“* gdybyśmy nie znajdowali na to dostatecznej odpowiedzi w całem zachowaniu się hr. St. Tarnowkiego w życiu publicznem jako publicysty i jako posła.

Obawiamy się, aby tego rodzaju pochwały nie posłużyły do wyrobienia zdania, jakoby ks. Leon należał do polityków wstecznych i zacofanych. Był on konserwatystą i jeżeli trwożliwie się zapatrywał na dążenia do reformy wielce nas krępującego ustawodawstwa, to miał jednakże tę wielką zaletę, że nie stawiał przeszkód swobodnemu rozwojowi postępowych pomysłów a nadewszystko dwie przewodnie zasady popierał usilnie w całem politycznem działaniu. Jedną z tych było: uznanie praw obywatelskich ludu wiejskiego. Jak od samego przybycia do kraju pracował nad zniesieniem poddaństwa ludu wiejskiego, tak gdy prąd czasu sprowadził tegoż usamowolnienie, przestrzegał Sapieha jak najściślej tego aby równe uprawnienie wszystkich warstw społecznych weszło w całej pełni w życie.

W rozprawach sejmowych nie dopuszczał on wywlekania w sposób drażliwy wspomnień z r. 1846 a pozwalał na wnoszenie wszelkich żażaleń ze strony stanu włościańskiego o ile takowe nie tchnęły nienawiścią do innych warstw społecznych.

Drugą zasadą było: pozostawienie wolnego rozwoju narodowości ruskiej.

Gdy partja tak zwana świętojurska wystąpiła na Sejmie z pretensjami swojemi był Sapieha cierpliwym i pobłażliwym dla niej do tego stopnia, że nawet sobie ściągnął ze strony polskiej zarzuty zbytniej uległości dla Rusinów.

Skutek okazał że lud wiejski przejrzał i poznał się na nieczystych zamiarach owej partji, która osłaniając się płaszczykiem ruskiego patrjotyzmu była i jest narzędziem wichrzeń moskiewskich.

Główną cechą politycznego działania ks. Leona było to, aby zażegnywać waśń stronnictw, gdziekolwiek takowa się pojawiała i zjednywać sobie przychylność ludzi wszelkich odcieni politycznych.

Jeżeli on przez to nie zajął odrębnego i wybitnego stanowiska jako mąż polityczny, jeżeli się nie stał przedstawicielem żadnej idei, żadnego systemu politycznego, to za to okazał się rozjemcą waśni i nader zręcznym w tem aby w sposób łagodny, jedynie powagą swego znaczenia i wpływu zażegnywać burze parlamentarne.

Na urzędzie naczelnika Wydziału krajowego przedstawił on się krajowi jako dzielny administrator, o czem zresztą już z czynności jego w zarządach kolei żelaznych i w zarządzie własnego majątku można było powziąć wyobrażenie.

Znaczenie i wpływ, jakie sobie umiał zjednać Sapieha i którego umiał użyć z korzyścią dla kraju nie zostało bez uznania u rządu.

Proponowano mu tekę ministra finansów i objęcie posady namiestnika. Tak od jednego jak od drugiego wymówił się Sapieha tem, że nie umie po niemiecku. Nie było to właściwym powodem nieprzyjmowania takich posad, lecz to, że chciał pozostać niezależnym od polityki dworu zaprzyjaźnionego z moskiewskim, gdzie przeciw Sapieże panowało nieprzyjaźne usposobienie, i z pruskim tak nieprzyjaźnym dla Polski.

Powód ów był więc o tyle prawdziwym, że jako Polak, nie chciał on wchodzić w stosunki z rządami wrogiemi jego Ojczyźnie.

Wpada i to w oczy, że obywatel tak wysoko ceniony przez rząd, nieotrzymał żadnego orderu austrjackiego. Należy to także przypisać owemu wygórowanemu patrjotyzmowi Sapiehy, który mu nie pozwalał przyjmować zarówno odznak, jak urzędów rządowych.

W ostatnich latach jego życia usiłowali ludzie zazdroszczący mu jego powodzenia a w szczególności Niemcy, których raziło to że Polak przewodniczy tak ważnym przedsiębiorstwom jakiemi są koleje galicyjskie, podkopać jego stanowisko. Udało to się rzeczywiście. Proces wytoczony Offenheimowi rzucił cień na całe zawiadowstwo kolei lwowsko-czerniowieckiej.

Pociągnęło to za sobą ustąpienie Sapiehy z Rad zawiadowczych kolei galicyjskich, którym przewodniczył, a nawet ustąpienie z posady marszałka.

Pamiętniki ks. Leona zawierają wiele wyjaśnień w tej mierze, których jednak dyskrecja pozostałej rodziny, nie pozwala ogłaszać.

Cobądź zarzucano wówczas Sapieże to jednak, po jego ustąpieniu nastąpił zwrot w opinji najzaciętszych nawet jego nieprzyjaciół, a zwrot ten objawił się najżywiej po jego śmierci uczczeniem go jako patrjoty zasłużonego jak najlepiej Ojczyznie.

Kończąc niniejszy zarys, nie możemy przemilczeć życzenia abyśmy mogli wkrótce ujrzeć publikację przedstawiającą nam z wszelką dokładnością i wiernością obraz żywota tego męża, który umiał we wszystkich najtrudniejszych okolicznościach, wyzyskiwać takowe dla dobra kraju nie plamiąc nigdy choćby najmniejszą skazą cechy prawego Polaka i dobrego syna swojej Ojczyzny.

Karol Widman.

DROGI ŻYCIA

POWIEŚĆ SZWEDZKA

przez

CARLINA.

(Ciąg dalszy.)

X.

Lidja udaje się znów na nową drogę życia.

Trzeciego dnia otrzymała już Lidja na swój list odpowiedź, że miejsce czeka na nią. List był serdeczny ale krótki, od samego pana Adrjana H. kupca en gros w małem miasteczku. Ponieważ pan H. życzył sobie jak najprędszego porozumienia się, a Lidja chciała odjechać wprzód nim powróci Edmund, dlatego na dwa dni przed jego przybyciem, udała się w drogę. Jechać pospiesznym pociągiem nie chciała, bo to drogo kosztuje, zatem martwiła się, że wypadnie aż dwie godziny na jednej ze stacji oczekiwać.

Smutne było pożegnanie z hrabiną. Dobra staruszka ze łzami w oczach ucałowała Lidję i powiedziała, że długo ją opłakiwać będzie, bo drugiej takiej nie znajdzie na świecie. I na dowód szczerego do niej przywiązania, darowała jej na pamiątkę złoty pierścionek z turkusem. Podarunek był skromny, ale Lidja przyjęła go z wdzięcznością. Pan dziedzic z żoną nie byli przy pożegnaniu, wyjechali bowiem na jakąś wizytę w sąsiedztwo.

W wagonie biedna dziewczyna zaczęła znów myśleć o swojem położeniu: — co na to ciotki powiedzą, gdy im napisze o wszystkiem?—jak ją przyjmą w domu państwa H.? a w końcu co powie Edmund, gdy za powrotem nie zastanie jej u hrabiny? I ciężko westchnęła biedaczka. Nikt jeszcze dotąd nie był dla niej tak dobrym i uprzedzającym jak on, więc zastanawiając się dłużej, musiała przyznać, że wygląda niewdzięcznie z jej strony taka ucieczka bez pożegnania — lecz dodała po chwili namysłu — i tak musieliśmy się rozłączyć na zawsze! Otóż w ten sposób rozmyślała nasza Lidja, nie zwracając uwagi na dwóch sąsiadów, którzy chrapiąc w najlepsze, nie narzucali się nikomu ze swem towarzystwem. Dopiero świst lokomotywy i przeraźliwe syczenie pary, wyrwały ją z tych marzeń, pociąg zatrzymywał się na stacji, gdzie należało wysiadać. Zebrawszy prędko swoje pakunki, przy pomocy sąsiadujących panów wydostała się z wagonu, a wzrok jej padł w tej chwili na młodego mężczyznę w popielatem letniem ubraniu. Z cygarem w ustach stał on na platformie, przyglądając się obojętnie wsiadującym i wysiadującym podróżnym, i tylko od czasu do czasu podnosił kapelusz dla ochłodzenia spoconego czoła.

Lidja nie mogła oczom uwierzyć! — Był to Edmund! I on ją widocznie poznał natychmiast, bo odrzuciwszy na bok cygaro, znalazł się tuż przy niej.

— Co to znaczy, panno Lidjo? — pyta zdziwiony.

— Ach, nie pytaj mnie pan — odpowiada czerwieniąc się Lidja.

— Pociąg stoi tylko trzy minuty...

Wkrótce jednak, gdy znaczna liczba pasażerów powsiadała do wagonów, pociąg ruszył, a oni nie mogąc jeszcze pojąć tak niespodziewanego spotkania, zostali sami na peronie.

— Teraz możemy mówić swobodnie — odzywa się Edmund — cóż to się stało, czy jedna z ciotek pani zachorowała?

— Nie, Bogu dzięki!... Proszę wejdźmy do sali, gdyż blisko dwie godziny muszę tu czekać. Jadę do Z. gdzie przyjęłam miejsce nauczycielki w domu bogatego kupca, pana H.

— Ale zkądże to wszystko tak nagle, chyba, że spotkało panią coś tam nieprzyjemnego?... No, to już muszę uważać za moje szczęście w nieszczęściu, że spóźniłem się rano na pociąg. Niech pani sobie wyobrazi coby się działo ze mną, gdybym wróciwszy na wieś, dowiedział się, że panna Lidja idąc za popędem fałszywych przypuszczeń, pogardza radą szczerego przyjaciela i zdaje się przed nim uciekać...

— Proszę, nie rób mi pan podobnych wymówek — odpowiedziała cicho, wchodząc do sali jadalnej z młodym doktorem pod rękę. Łagodny i prawie błagalny ton głosu, widocznie uspakajająco wpłynął na Edmunda, bo po chwili odezwał się z wrodzoną sobie serdecznością:

— Przez dwie godziny będziem się tedy mogli nagadać do woli.

— Aż dwie godziny? — zawołała z radością Lidja. — Czy i pan musi tak długo oczekiwać?

— Ja jeszcze pięć godzin mam przed sobą, ale i to dla mnie za mało.

— Jednak — zagadnęła Lidja głosem pełnym zaufania i zdradzającym niejakie zakłopotanie. — Czyż tu mamy siedzieć sami całe dwie godziny?

— A cóż w tem złego? Najprzód zjemy obiad, który zamówiłem, wypijemy kawę, a po-

żniej przejdziemy się trochę, aż do godziny odjazdu... No cóż, zgadza się pani na mój projekt?

— Bardzo przyjemny i dobry, ale...

— Rozumiem, rozumiem znaczenie tego „ale“ i pytam się tylko, czy byłoby w tem co złego, gdyby i my nie znając się wcale, spotkali się tutaj i jedli przy tym samym stole i rozmawiali razem. Cóż w tem byłoby nadzwyczajnego?

— Najzupełniejszą masz pan rację — przerwała śmiejąc się Lidja — zresztą, cóż lepszego mamy do roboty. Idzie mi tylko o to, co powie pani Justyna, jak się dowie jakiego figla spłatał jej prosty przypadek? Nie uwierzy.

— No, teraz pewny już jestem, że to sprawki kochanej siostrzyczki zmusiły panią do wyjazdu. Ale otóż i służący; wie pani, panno Lidjo, odgrywajmy rolę małżeństwa, tylko dobrze — szepnął jej Edmund.

Każdy zachwyciłby się widząc w ten sposób Edmunda zajętego Lidją.

Lekkie wino i miła rozmowa, były prawie koniecznem, jak utrzymywał młody doktor, przy podróżnym obiedzie. Wszystko to, jednak nie zdołało zatrzeć w umyśle Lidji doznanych niedawno przykrości, a myśl, że się wkrótce może na zawsze rozłączą, zatruwała ostatnie chwile.

— Cieszy mię to — odezwał się po chwili wysłuchawszy opowiadanie Lidji, że Adolf pomimo lekkiego usposobienia swego, choć raz w życiu zdobył się na tak stanowcze wystąpienie. Z postępowania pani hrabiny także jestem zadowolony; ale Justyna, ta Justyna, wie pani, że wątpię, czy mogę więcej kogo nienawidzieć...

Tu zatrzymał się Edmund, niby spokojnie wychylając duszkiem kieliszek wina, gdy nerwowe drganie powiek i ponury wzrok jego, świadczyły o wewnętrznem wzburzeniu. Łagodny głos Lidji uspokoił go trochę.

— Prawda, że musiałam wyjechać natychmiast? — rzekła z powagą.

— Nie śmiem, nie mogę i chcę o tem sądzić — odpowiedział smutnie Edmund — ale czego mówi pani tak głośno o tem w obecności służącego? Chyba umyślnie, aby niedopuścić najmniejszego objawu zaufania?

Mocny rumieniec Lidji, dał poznać, że przypuszczenie Edmunda było aż nadto prawdziwe.

— A więc — przerwał z wyrzutem Edmund — czy takim sposobem chcesz pani przyjść w pomoc drażliwej pozycji naszej? Myślałem, że tak wierny przyjaciel, jakim byłem i jakim myślę zostać, zasługuje...

— ... Myślisz pan zostać? — zapytała Lidja podchwytując sposobność skierowania rozmowy na inny przedmiot, przecież znajomość nasza tu się kończy?

— ... Tutaj? — powtórzył Edmund — Czyż nie zostanie nadal choć we wspomnieniach?... Czy tak prędko zostanę zapomniany?...

— We wspomnieniach pan mówisz — tak! Tak, spotkamy się może kiedy w pamięci.

— Zdaje mi się, że i osobiście. Z powrotem, ze Sztokholmu umyślnie pojadę przez L... a upoważniony listem ciotek, spodziewam się, że dostąpię tego zaszczytu złożenia pani mojego uszanowania.

— Pański plan podróży — odpowiedziała śmiejąc się Lidja — nie jest podług mnie wygodny; L... nie leży wcale na drodze między Sztokholmem a miejscem zamieszkania ciotki, wszak to zupełnie w innej stronie.

— Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a zatem i do Sztokholmu; jeżeli nie jestem pożądany, smutnego doznam rozczarowania.

— Bądź pan przekonany, iż nie mam tak wielu przyjaciół, aby życzliwość pańska miała mi być zbyteczną, panie Edmundzie — rzekła smutnie Lidja.

— Tak... zaczął znowu Edmund — to co innego... Doskonałe są te ciasteczka!... Jak zjem ten kawałek, będę miał aż nadto, pójdę wypalić cygaro, a pani, panno Lidjo, wypije tymczasem kawę.

Przy tych słowach spojrzał na Lidję, a że tak miły uśmiech igrał na jej twarzy, tak zachwycające było jej spojrzenie, więc zapomniał o cygarze i o całym świecie, dotrzymał jej towarzystwa przy kawie, choć jeszcze dosyć zostawało im czasu na przechadzkę, ale jak zaczęli się wybierać a Edmund zaczął rozbierać projekta o przyszłem zobaczeniu się, które jak utrzymywał, niedługo musi nastąpić, to ledwie że wyszli za stację, już usłyszano świst zbliżającej się lokomotywy, i młodzi jak dwa ptaszki śmiejące się żartujące na wyścigi, wrócili na stację.

— Proszę nie zapomnieć o mnie! — były ostatnie słowa Edmunda, a głos jego zdradzał lekkie wzruszenie. Prośba została bez odpowiedzi, jeżeli za nią nie chcemy przyjąć rumieńca, który oblał twarz Lidji.

XI.

List Lidji do ciotki.

Moje kochane i najdroższe ciotki!

„Już trzy tygodnie jak jestsm w tym domu, i tak mi tu dobrze, że uwielbiać muszę rękę Wszechmogacego, która prawdziwie po ojcowsku kieruje moim losem. W dawniejszych moich listach opisałam przyjęcie, jakiego doznałam w tym domu, a dzisiaj mam tę pociechę, że pani Cecylja przychodzi do zdrowia pod moją opieką. W ciągu ostatnich czternastu dni, wstawała nawet kilka razy z łóżka, a mąż całuje ją i pieści, przeprowadza sam z krzesła na krzesło, otacza największem staraniem, a wtedy chmurne jego oblicze rozjaśnia się cokolwiek, biedny, jak on ją kocha. W słowach pan Adrjan jest nadzwyczaj oszczędny, ale za to spojrzenia jego, więcej mówią niż słowa. Żonę ubóstwia, ale najwięcej, jak do niej powie: „Wyzdrowiejesz moja droga.“ bierze jedno z dzieci na rękę, albo czasem oboje, i szepcze im uszczęśliwiony:

— Mama będzie zdrowa.

Kiedyś mówiła mi Cecylja. — Dziwisz się pewnie Lidjo, jak mój mąż mógł się ze mną ożenić? — Odpowiedziałam otwarcie, iż to dla mnie rzeczywista zagadka. Opowiedziała mi więc, że poznała się z swoim mężem u wód za granicą, gdzie przyjechał leczyć się na oczy. Tak jak i teraz mało co mówił; pewnego dnia spotkaliśmy się sam na sam w salonie, prosił żebym mu przeczytała dziennik. Głos jego — mówiła — był tak uprzejmy, że natychmiast uczyniłam zadość jego prośbie. Później czytywałam mu częściej, aż jednego dnia zapytał mnie, wprost tak bez namysłu: — Czy pani zgodzi się czytywać mi odtąd jako przyszła żona? Oświadczenie to przeraziło z początku Cecylję, ale że była biedną i zależną, a przytem, że czuła prawdziwą sympatję do tego milczącego człowieka, więc zgodziła się i wkrótce pobrawszy się pokochała go bardzo. W rzeczy samej jestto bardzo dobry i szlachetny człowiek; nie wychwala się nigdy, choć dużo osób wiele mu zawdzięcza. Bogaty, nie chce tych bogactw używać wyłącznie dla siebie. Nie myśl o sobie, cały tylko oddany żonie i interesom.

Ale wracam do początku mego listu — pomimo wszystkiego dobrego, jakiego doznaję, nie jest mi dobrze... Zdziwicie się kochane ciotki, co może zatruwać mi pokój... tak, zatruwa coś i to boleśnie!

Wczoraj po obiedzie była u Cecylji jedna z jej niby przyjaciółek; gdy odeszła, Cecylja była zmartwiona, a gdy dziś rano zapytałam jej czy czasem nie słaba:

— Nie, Bogu dzięki!... — odpowiedziała — myślę tylko czy mam ci powiedzieć lub nie rzecz, która cię żywo obchodzi. Ale powiem, powinnaś wiedzieć koniecznie.

— Spuść się na mnie — odpowiedziałam — jeżeli jakie nikczemne plotki, to wiem z pewnością zkąd pochodzą.

Wtedy dała mi Cecylja jakiś odcinek z listu, dodając: Pamiętaj tylko, ja temu nie wierzę, dla mnie stoisz w tak czystem świetle, że go nic zaćmić nie zdoła:

Proszę was kochane ciotki przeczytajcie teraz ów wyjątek z listu, który tu załączam:

Wycinek ten zawierał co następuje:

— Gdy już moja najdroższa wyspowiadałam ci się z moich uczuć i przekonań o przyjaźni, miałam list zapieczętować, ale jedna myśl przyszła mi do głowy.

Opowiadano mi, że macie u siebie w miasteczku piękny egzemplarz kokietki i intrygantki, która pod różnemi pozorami wkręca się do porządnych i zamożnych domów, aby tam zasiewać niepokój. Jestto niejaka panna Lidja Palm; była ona kilka miesięcy u hrabiny J. w Stefanhoff, która tylko na dwie rzeczy zwraca uwagę, to jest na pracowitość i posłuszeństwo. Tam umiała ona pochlebstwem zawojować nie tylko staruszkę, ale i młody doktor filozofji, nauczyciel wnuków pani T., wnukowie sami i ojczym ich oczarowani byli tą intrygantką i na nią tylko zwracali uwagę. Nic też dziwnego, że matka wnuków, niejaka pani Justyna Rosenkranz, tak była oburzona tą kokieterją Lidji, że musiała niejako postawić ultimatum hrabinie, albo panna Lidja, albo ona musi ustąpić ze Stefanhoff.

Hrabina sprzeciwiała się temu, lecz na szczęście całą tę rozmowę podsłuchiwała mała sama, podziękowała za miejsce i znalazła przypadkiem inne w waszem miasteczku. Wszystko to odbyło się podczas krótkiej nieobecności doktora Edmunda Rosenkranz, który zmuszony był jechać do Stokholmu dla załatwienia interesów. Jednakże przebiegła panna, potrafiła się tak urządzić, że na stacji, gdzie miała czekać dwie godziny, spotkali się niby przypadkiem.

Niech nas Bóg zachowa od takiej przebiegłej młodości! Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy też nie rozpoczęła jakich nowych intryg w domu, w którym się obecnie znajduje. Pani Justyna jest przekonaną, że doktór Rosenkranz wracając ze Sztokholmu odwiedzi pannę Palm, więc gdyby to rzeczywiście miało miejsce, proszę cię napisz mi moja droga. Chodzą tu pogłoski, że ważna bardzo rozmowa zaszła między panią Justyną a nauczycielem jej synów. Moja droga przyjaciółko, pokaż, że nietylko ja zostałam wierną starej przyjaźni... (Podpis był obcięty).

Gdy ciotki przeczytają to obrzydliwe oskarzenie, przekonają się, w jakiem tu jestem położeniu. Proszę tylko, aby ciotki jak przyjedzie pan Edmund Rosenkranz, przyjęły go serdecznie i szczerze, to taki dobry i zacny przyjaciel, od-

powiedźcie mu całe to zdarzenie, przeczytajcie nawet ten ustęp listu. Znam jego zacny charakter i wiem, że porzuci zamiar odwiedzenia mnie tutaj, jeżeli miał takowy. Nie martwcie się tem bardzo, drogie ciotki, bo mając czyste sumienie, spodziewam się, pan Bóg udzieli mi dosyć siły do zniesienia tak bolesnego upokorzenia. Uboga dziewczyna między obcymi powinna być na wszystko przygotowaną...

...... Przerwałam na chwilkę, gdyż moja droga Cecylja zawoławszy mię do siebie, powiedziała: — Jeżeli ów młody człowiek, o którym mowa w liście, będąc tutaj nie przyjdzie do ciebie, da dowód prawdziwej przyjaźni, zaniechawszy swego zamiaru przez samo uszanowanie dla twojej osoby.

Jakże się ucieszę kochane ciotki, gdy będę mogła powiedzieć Cecylji, że on na prawdę nie przyjdzie...

Kochająca was Lidja (lepiej Marta-Marja).“

Dopisek, gdyż ten w liście kobiet musi być koniecznie: „Kochane ciotki, jeszcze raz proszę, bądźcie łaskawe dla pana R. Nikt na to więcej od niego nie zasługuje.

Dopiero za tydzień przyszła odpowiedź. W naiwności ducha poczciwe staruszki uważały wszystkie przeciwności, jakie spotykały Lidję, za próby charakteru i serca, przez które każda młoda panna przejść powinna. „Zresztą“ piszą one — możesz być przekonaną, że każdy porządny człowiek znając twoje dobre i poczciwe serce, nie zwątpi nawet na chwilę o szczerości twego charakteru. Jeżeli tylko zechcesz powrócić do nas, znajdziesz zawsze najgoretsze współczucie i szacunek, którego nie zniszczą, a nawet nie zmniejszą babskie ploteczki.

„Doktor Rosenkranz przybył wcześniej niżeśmy się spodziewały. Polubiłyśmy go bardzo: Nazywa nas ciotko Ebbo i ciotko Doroto, a my go Edmundem. Czasem zdaje nam się, że znamy go od dziecka, a on również okazał się dla nas tyle uprzejmym, że jakoś od razu między nami powstała pewna zażyłość, która nikogo nie razi. Z powodu wielu nowych znajomości i stosunków, jakie zawiązać musiał z tytułu dziennikarskiego swego zajęcia, ma bardzo wiele pracy i zostanie tutaj dłużej niż z początku zamierzał. Siedzieliśmy właśnie wszyscy przy herbacie, gdy przyszedł list od ciebie, zmartwił się bardzo twoją prożbą. Dla niego, jak utrzymuje, było to jedyną pociechą, że na ten list sam osobiście będzie ci mógł przynieść odpowiedź...“

Dalszy ciąg listu nie zawierał w sobie nic takiego, coby was kochani czytelnicy obchodzić mogło. Przytaczam tu tylko bilecik, jaki załączony był do listu ciotek. Edmund Rozenkranz pisał:

Najdroższa panno Lidjo!

„Chociaż wiem, że ciotki nazywają panią Martą-Marją, ja tego imienia swobodnie wymawiać nie mogę, a cóż dopiero napisać. Ale dowiedziałem się, że matka pani nosiła to piękne imię Lidja, panią nawet w dzieciństwie nazywano Lidją i dopiero później dla uniknięcia nieporozumień, zrobiono z pani Martę-Marją. Teraz nawet ciotki pani, które serdecznie pokochałem, obiecały mi znów do tego imienia „Lidja“ powrócić.

„Na nieszczęście, uroda u młodych panien staje się często powodem zawiści między kobietami i źródłem wielu przykrych i nieuzasadnionych nieporozumień. Umiem cenić powody, dla których nie mogę jej złożyć osobiście mego uszanowania; tym sposobem znikła nadzieja prędkiego zobaczenia się, lecz będę cierpliwy i muszę się kiedy tego doczekać. Wola ludzka jest wolą Boga, ma się rozumieć, gdy wola ta jest stanowcza i prawdziwa. Tymczasem aby pani zupełnie o mnie zapomnieć nie mogła, prosiłem szanownych ciotek o pozwolenie notabene, jeżeli się temu i pani sprzeciwiać nie będzie, pisania do niej za pośrednictwem ciotek co dwa miesiące. Gdy odbiorę za to choć przyjacielskie pozdrowienie, będę się czuł szczęśliwym i wdzięcznym nieskończenie.

Ze szczerem i gorącem życzeniem spokoju dla pani zostaję.

Wierny i przywiązany przyjaciel *Edmund R.*“

Bilecik jaki otrzymała Lidja od człowieka, który ją tak szanował, uspokoił jej obawy. Był tak serdeczny, szczery a zarazem umiarkowany, że nie potrzebowała wstydzić się go zupełnie. Nie wiedziała tylko, czy ma zadosyć uczynić jego żądaniu, i dlatego napisała do ciotek, aby się ich poradzić w tym względzie; te, nie tylko pozwalały, ale nawet namawiały do tego. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

V.

Być na balu w Kazali, na balu w całem znaczeniu tego słowa, a więc posiadającym wszystkie akcesorja balowe, dekoltowane damy z bukietami, wyfraczonych i ufryzowanych młodzieńców, całą wojskową orkiestrę, salę bufetową, wystawną kolację z majonezem i lodami, salę gry z wistem i *sztosem*; — to chyba trzeba się urodzić w czepku albo co najmniej być szczególniej protegowanym przez rząd moskiewski.

Czy się Burnaby rzeczywiście urodził w czepku, jest to pytanie, nad rozwiązaniem którego troszczyć się prawdopodobnie będzie który z jego przyszłych niemieckich biografów. Na razie jednak obecność swą na owym balu w Kazali zawdzięcza jedynie troskliwej opiece rządu carskiego. Zaraz się o tem przekonamy.

Przybył on do Kazali w sam dzień Bożego Narodzenia, obchodzonego jak wiadomo dość uroczyście u Moskali. Uroczystość tego obchodu nie polega wszakże u nich, jak u nas i u Anglików na wewnętrznem czysto serdecznem zespoleniu do koła jednego ogniska wszystkich członków rodziny, ale raczej na rozcięciu pęt niewoli nałożonych na wszystkie sługi carskie przez ortodoksalną urzędową religję. W Moskwie do dziś dnia istnieją, chociaż już coraz rzadziej wykonywane bywają, surowe kary za wszelkie przekroczenia religijne. Za nieprzestrzeganie postów, niechodzenie w niedzielę do cerkwi, nieodbycie wielkanocnej spowiedzi, za ogłoszenie drukiem lub nawet za wypowiedzenie publicznie jakiejkolwiek krytyki czy nagany urzędowej religji, można się dostać do kozy albo co gorzej, na tak zwane *pakajanie* (rekolekcje) do klasztoru. Do dziś dnia każdy oficer, każdy student uniwersytetu lub akademji technicznej, każdy słowem członek jakiejkolwiekbądź inteligencji państwowej obowiązany w przepisanym terminie odbyć wielkanocną spowiedź. Jeżeli tego nie dopełni, czeka go wypędzenie z instytucji. Każdy zaś w ogóle parafianin — jak np. na wsi, gdzie kontrola jest łatwiejszą, musi się opłacać popowi proboszczowi, jeżeli nie chce dostać się do kozy za nieprzestrzeganie postów lub za nie chodzenie do spowiedzi. W miastach ucisk religijny jest mniejszy, zwłaszcza w sferach niezależnych bezpośrednio od rządu. Ale i tam pewna przezorność nigdy zbyteczną nie bywa. Dość bowiem żeby przepisana prawem liczba świadków stwierdziła, że ktoś w dzień postny jadł z mięsem, nie będąc do tego upoważnionym ordynacją lekarską, aby sześciotygodniowe więzienie obostrzone zupełnie ścisłym, *suchym* postem, nauczyło gurmanda jak martwić należy grzeszne ciało. A suchy post moskiewski różni się bardzo od katolickiego. Jeden przykład: cukier, ten zwykły biały, rafinowany, wyciskany z buraków cukier zalicza się do potraw mięsnych. Dla czego? zapyta każdy z najwyższem zdziwieniem. Dla tego, że go rafinują przez miazgę kostną, która przecie jest rzeczą mięsną, bo ze zwierząt pochodzi. Moskale w poście piją herbatę z rodzynkami lub z miodem.

Jakimże więc sposobem Moskale mogli drukiem ogłosić przekłady tylu dzieł ateistycznych i materjalistycznych? Rzecz prosta: bo te dzieła pisane były przez katolików lub protestantów i wymierzone były bądź przeciw katolicyzmowi bądź przeciw protestantyzmowi. Kiedy w 1875 r. wyszła w przekładzie moskiewskim Lecky'ego *Historja moralności*, w której autor dość nieprzychylnie odzywa się o chrześcijanizmie; policja z rozkazu najwyższego Synodu natychmiast dzieło to skonfiskowała, a tłómacza i wydawcę pociągnęła do odpowiedzialności. Spasowicz, znany nasz pisarz i adwokat, ich bronił, a za pomocą zręcznego zestawienia rozmaitych ustępów z tego dzieła, wykazał, że Lecky mówi tylko o chrześcijanizmie katolickim a nie o chrześcijanizmie prawosławnym. I nietylko swoich klientów uwolnił od kozy, ale nawet wymógł na sądzie tą argumentacją cofnięcie konfiskaty. Gdyby kto dzisiaj ogłosił w Rosji, że nie wierzy w Boga, lub w nieśmiertelność duszy to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dostałby się na Syberję na całe życie. Chyba, że także tłómaczyłby się, iż miał na myśli Boga katolickiego, a w tego nie wierzyć wolno, zwłaszcza wolno nie wierzyć w nieśmiertelność katolickiej duszy.

W Kazali zaś jak długa i szeroka nie było ani jednej katolickiej duszy. U dołu mahometanie, u góry prawosławni. Nie było więc niedowiarków, bo pierwsi nie byli tak naiwni, aby się wyrzec niebiańskiego haremu i cudnych hurysek, a drudzy nie byli tak niepraktyczni, aby narażać się na kary i kolizje z rządem. Ci ostatni suszyli tedy ściśle adwent, a za to w dzień Bożego Narodzenia popuścili pasa. Cała tedy kolonja moskiewska, zamieszkująca Kazalę, a złożona z paru tysięcy osób, piła od rana, a raczej od chwili, w której pop skończył *moliebień* w cerkwi, znajdującej się wewnątrz fortyfikacji. Tematu do pijatyki dostarczała sama uroczystość religijna, a oprócz niej jeszcze i ta okoliczność, że na ten dzień zjechało się do Kazali mnóstwo gości z prowincji.

Co za cywilizowany frazes wymknął się nam z pod pióra: „mnóstwo gości z prowincji.“ Czytelnik gotów uwierzyć, że dokoła Kazali istnieje *prowincja*. My tymczasem mieliśmy tylko na myśli zaznaczyć przyjazd oficerów i szypmanów floty Aralskiego morza, jako też poczmistrzów z okolicznych stacji pocztowych, rozłożonych wzdłuż

dwóch pocztowych linij, jednej wiodącej do Orska i znanej już nam, a drugiej do Taszkientu. Jednakże kontygens tych gości był dość liczny jak na Kazalę. Flota moskiewska Aralskiego morza składa się z czterech parowych kanonierek i 750 ludzi; z tych połowa przybyła na święta; dodajmy do nich z 10 poczmistrzów z rodzinami, a będziemy mieli dość spory zastęp gości, aby usprawiedliwić ten fakt, że nie tylko wszystkie liche zajazdy kirgizkie pełne były przyjezdnych, ale nawet pierwszorzędny hotel. W Kazali, hotel Morozowa, duży i okazały piętrowy dom murowany, nie miał ani jednego wolnego numeru. Burnaby, odbywszy wędrówkę od Piłata do Kaifasza, od jednego zajazdu do drugiego, i przekonawszy się, że nigdzie schronienia znaleźć nie może, zrozpaczony, udaje się do naczelnika twierdzy z prośbą o przytułek. Ten, podpity co się zowie, w wesołym humorze, przyjmuje go gościnnie i ofiarowuje mu swój gabinet, to jest izbę obszerną, o ścianach wybielonych zwykłem wapnem, o podłodze prostej, drewnianej, o dużym piecu zajmującym niemal trzecią część izby, umeblowanej jak można najskromniej. Stół, pokryty zielonem suknem, kilka prostych stołków, w jednym końcu szafka, a naprzeciw pieca wzdłuż ściany duży tapczan, wypchany słomą, a zasłany drelichem,—oto meble, które się wspierając nawzajem, czyniły zadość dość zresztą skromnym wymaganiom p. komendanta twierdzy. Tem więc snadniej zadość uczynić mogły wymaganiom Burnaby'ego, który znużony kilkodniową podróżą i bezsennemi nocami, z nieopisaną radością spoglądał na słomą wypchany tapczan i na dużą mosiężną miednicę, stojącą na stołku za piecem. Wymyć się dobrze, wygodnie, a potem wyciągnąć znużone członki na tapczanie i zasnąć!... wyżej po nad te rozkosze nie sięgała jego fantazja w danej chwili.

Jednakże fatalny los nie dozwolił mu skosztować ich w całej pełni. Zaledwie bowiem po umyciu się, rozciągnął się nasz kapitan na tapczanie, a przykryty kocem, zabierał się do snu, kiedy w tem wpada do izby komendant twierdzy z miną przestraszoną, z wejrzeniem błędnem a zarazem badawczem, i podbiegłszy do Burnabyego oświadcza mu, że wojenny naczelnik powiatu Kazali wzywa go do siebie.

— Coście wy *batiuszka* mnie narobili? Zgubicie biednego człowieka!— rzecze komendant.

— Ja? Dla czego? Jakim sposobem? — zapyta zdumiony Burnaby.

— I jeszcze pytacie się? A toć przecie jesteście angielskim oficerem! I nic mnie o tem nie powiedzieliście.

Zrozumiał Burnaby o co rzecz chodziła. Angielski oficer upraszający o przytułek w twierdzy moskiewskiej, to widocznie szpieg wojenny, mający zamiar zdjąć plan fortyfikacyj. Zerwał się tedy z tapczanu, na którym mu było tak wygodnie, ubrał się co prędzej i razem z komendantem udał się do jenerała Gołowina, mieszkającego w dużym i dość przyzwoitym murowanym domu, otoczonym dokoła ogrodem a wychodzącym frontem na główny plac Kazali.

W drodze kapitan nasz był nieco zafrasowany, przypuszczał bowiem, że im bliżej do celu jego podróży, tam więcej zaczną mu Moskale robić przykrości pod najrozmaitszemi pretekstami. To będą w nim podejrzywali szpiega, to będą go brali za emisarjusza, gotowi go jeszcze zaaresztować i wtrącić do jakiego lochu,—kto ich zna, ten wszystkiego po nich spodziewać się może. Ze smutną przeto miną i z przeczuciem czegoś złego wszedł Burnaby do salonu jenerała Gołowina, umeblowaniem swojem przypominającego loże *concierge'ów* paryskich. Czerwone aksamitne meble, średniej wielkości zwierciadła w błyszczących mosiężnych ramach, palisandrowe stoliki tego kształtu, który już tylko w Rosji spotykać można, a który wyraźnie pokazuje, że one jedynie do gry w karty są przeznaczone; u okien tiulowe firanki, zawieszone na drążkach, oblepionych złotym papierem i zastępujących miejsce karniszów; na stołach przeszłoroczne numera *Journal amusant* i parę albumów, mieszczących fotografie oficerów, ich żon i aktorek petersburgskich. Zaledwie miał czas rozejrzeć się Burnaby po tym salonie, kiedy otworzyły się drzwi boczne i do salonu wszedł człowiek lat około 40, ubrany w jeneralski mundur, i w lansadach sążnistych z uśmiechniętą miną podbiegł do Burnabyego.

— *Oczeń pryjatno*, bardzo mi przyjemnie powitać w mym domu kapitana gwardji królowej angielskiej, bardzo przyjemnie. Przed dwoma tygodniami otrzymałem telegram donoszący mi o pańskim zamiarze zwiedzenia Chiwy, z rozkazem od ministra wojny, abym był mu we wszystkiem pomocny. To też gdy się dowiedziałem, że pan przyjechałeś i że stanąłeś u Siergieja Siergiejewicza, natychmiast postanowiłem, chociażby pomimo pańskiej woli, zaprosić pana w gościnę do siebie. Jestem teraz *chałastiakom* (kawalerem), bo żona moja wyjechała do Petersburga, pomieszkanie mam obszerne, służyć przeto panu mogę wszelkiemi wygodami, i sądzę że nie odmówisz mi pan tej grzeczności.

Serdeczne na pozór zaprosiny, przysłaniające ukryty pod niemi despotyczny rozkaz, wskazywały, że wszelka opozycja byłaby z jednej strony płonną, z drugiej nawet niegrzeczną. Gotowi byliby jeszcze na prawdę pomyśleć, że Burnabyemu zależy na zbadaniu twierdzy. Nie mniej przecie wypadało palnąć jakiś komplement na rzecz Siergiejewicza, uprzedniego gospodarza.

— Nie rozporządzam sobą jenerale—rzecze tedy Burnaby—a znalazłszy gościnny przytułek u Siergieja Siergiejewicza, zależę zupełnie od jego woli. Jeżeli tedy on zezwoli...

— O ja i owszem, i owszem, — przerywa Siergiej Siergiejewicz, wyciągnięty jak struna. Spostrzegł się jednak, że przesolił w gorliwości służebnej. To jest ja pragnąłbym pana zatrzymać w mym domu— dodaje natychmiast,—ale tego ten...

— A więc rzecz zdecydowana. Pan u mnie zostaje, i zapraszam pana do siebie dzisiaj na wieczór. Po rzeczy pańskie już posłano, zechciej więc pan się rozgościć,—temi słowy przerwał jenerał komendantowi twierdzy, ratując go z niemiłej walki między przepisami gościnności a obowiązkiem służbowym, w której on, niewprawny w dyplomatyczne wykręta, rady dać sobie nie umiał.

Koło godziny dziewiątej wieczór zaczęli się zjeżdżać goście, przeważnie oficerowie z żonami. Było wszakże i kilku urzędników cywilnych, w błękitnych frakach z złotemi guzikami. Panie wchodziły zamaszyście na salę, wszystkie wydekoltowane w stopniu zaledwie dozwolonym, z bukietami sztucznych kwiatów w ręku. O ile mężczyzna, i do tego Anglik, może decydować o stroju kobiecym, to z balu tego sądząc, wypada złe wydać świadectwo o guście dam wyższego świata w Kazali. Bo jakkolwiek Burnaby nie jest w stanie rozstrzygnąć o ile stroje te były modne, zaznaczyć wszakże może, że raziły go swoją przesadą, fatalnym doborem kolorów, pewną nieproporcjonalnością w układzie i sadzeniem się na popis. To ostatnie szczególnie dotyczy klejnotów i biżuterji. Otrzymywano efekt taki, jak gdyby te panie włożyły na siebie wszystko co miały w swej kassetce, do ostatniego pierścionka i do ostatniej szpilki z jakimkolwiek kamyczkiem. Oprócz tego sprawiały one jeszcze i to wrażenie, jak gdyby każda z nich usiłowała jak najwięcej zająć miejsca w przestrzeni... za sobą i nad sobą. Panowała bowiem wtedy moda pufów i koków. Owoż śmiało można przypuścić, że postanowiły one rywalizować ze sobą i co do jednych i co do drugich. Za to z przodu suknie były dość krótkie i odsłaniały nóżki— całkiem nieładne, duże, płaskie i tak szerokie jak gdyby sześciopalczaste.

Zanim rozpoczęły się tańce, damy przechadzały się z oficerami po pokojach, podchodziły do stołów gry, brały nawet same w grze udział, ale co najcharakterystyczniejsza, to to, że paliły nieustannie — i to wszystkie bez wyjątku — i to tak papierosy jak i cygara. Mężczyźni wtórowali im w tem tak dzielnie, że wkrótce nawet fajki pokazały się na placu, a w skutek tych wspólnych usiłowań pań i panów, takie chmury dymu tytuniowego kłąbiły się w powietrzu, że wprot oddychać nie było można. I co dziwniejsza, że panie więcej zdradzały namiętności w paleniu, aniżeli mężczyźni. Może to dla tego, że palenie jest symbolem emancypacji, według rozumienia Moskiewek; może dla tego, że jest nowością i zaledwie od niedawna wprowadzone zostało do salonów moskiewskich, przedtem zaś uważane było nietylko jako rzecz nieprzyzwoita, ale nawet jako grzech śmiertelny, a dawniej jeszcze, półtorasta lat temu, jako zbrodnia stanu, śmiercią karana; może wreszcie i dla jakich jeszcze innych powodów, ale faktem jest, że panie moskiewskie z takim zapałem oddawały się tej przyjemności, iż niektóre pozwalały sobie *zaciągać się* w przestankach pomiędzy figurami kadryla.

Oprócz tej cechy charakterystycznej, że odbywał się w atmosferze, przesiąkniętej dymem tytuniowym, bal u jen. Gołowina był zresztą dość podobnym do wszystkich innych balów. Muzyka wojskowa grała, a więc tańczono; w antraktach romansowano, przechadzano się po sali, grano w karty, zapijano się w bufecie, a wreszcie udano się na kolację, która tem się różniła od innych, że jako *pièce de résistance*, zamiast sarny, zająca lub kapłona, podano zwykły, najprostszy w świecie befsztyk.

Burnaby był naturalnie bohaterem dnia a raczej wieczora. Naprzód Anglik, powtóre bogaty, po trzecie przystojny, po czwarte człowiek, który widział Paryż, po piąte, oryginał, który był w Petersburgu, mógł tam zostać, mieszkać, hulać, bywać w najpierwszych towarzystwach, ocierać się o ministrów etc., a który tymczasem udał się do Kazali;—oto tytuły, gwoli których wszystkie panie, a także i panowie z ciekawością połączoną z admiracją patrzały na Burnabyego.

— Zazdroszczę panu pańskiego stanowiska, bo pan musisz pobierać sowite dyety od rządu, i oprócz tego pewno podwójne koszta podróży — rzecze do Burnabyego jeden z młodszych adjutantów.

— Ależ żadnej pensji od rządu nie pobieram — odpowiada Burnaby.—Jadę moim kosztem. Wziąłem urlop na pół roku, jestem zatem zupełnie swobodny i oto właśnie postanowiłem czas ten zużytkować na zwiedzenie nieznanych mi krajów.

— Eh! Czyż to być może?

— Ale zaręczam panu.

— Więc pan mógłbyś naprzykład, gdybyś

chciał pozostać w Petersburgu i te pół roku tam spędzić?

— Naturalnie. Mogę bawić gdzie mi się żywnie spodoba, w Petersburgu lub gdzie indziej, gdzie mnie oczy poniosą.

— A to rzecz szczególna! I pan mogąc bawić w Petersburgu, wolałeś pojechać do Kazali? Ależ mój panie, ja gdybym mógł, tobym Petersburga nigdy nie opuszczał, chyba po to, aby pojechać do Paryża, a może i do Londynu, bo u was umieją dobrze pić—nieprawdaż?

— To zależy.

— Eh! przyznaj się pan, że umieją, i dla tego lubię Anglików. Ręczę, że jak będziemy się bili z wami u stóp Hindakusza, to wieczorami albo podczas rozejmu będziemy sobie wspólnie urządzali znakomite hulanki. W dzień bum, bum z armat, a w nocy pif, paf z butelek szampańskich, takie życie to rozumiem.

Bal trwał do godziny 8 z rana, to jest do wschodu słońca. Nikt z Moskali nie opuścił przed tą godziną sali balowej, boby to znaczyło, że lekceważy sobie gospodarza, a przecież tym gospodarzem był w danym razie bezpośredni naczelnik. Jeden tylko Burnaby pozwolił sobie wymknąć się po angielsku i udać się na spoczynek. Natychmiast jednak jenerał spostrzegł jego nieobecność i pośpieszył do jego pokoju, aby mu oddać dobranoc. Reszta zaś gości tańczyła do ósmej, poczem przetrąciwszy barszczu, na strzemiennego zasiadła do kart i przy kartach spędziła jeszcze parę godzin. Dopiero koło południa udał się sam jenerał na spoczynek. Korzystając z tego, Burnaby postanowił zwiedzić miasto, zanim się obudzi jenerał. (C. d. n.)

TAJEMNICA.

Jak boleści dwa olbrzymy
W świecie sami my stoimy,
Zimni, niemi, jak kamienie!
Jakie w sercu wrą płomienie,
Jakie w głowie myśli krążą,
Jak się dusze nasze wiążą,
Jak je rozpacz do dna toczy!
Nie dopatrzą żadne oczy.

Tajemnica nasza święta
Przysięgami tak zaklęta,
Że jej żaden jęk nie zdradzi!
I do grobu doprowadzi,
Wierna, cicha, niepojęta,
Pogrzebana, jak poczęta,
W głębi naszej smutnej duszy,
Wśród boleści i katuszy!

Trojan.

Cisza wieczorna.

Wieczorny ucichł spiew,
Usnął ptasi ród,
Z wierzchołków sennych drzew
Wonny wionie chłód.
Szemrzący w dole zdrój
O księżycu śni,
I muszek nocnych rój
Nad kwiatami mrzy.
O biedne serce me!
Czyliż tylko ty
Nie znajdziesz ulgi w śnie?
Nie osuszysz łzy?

Trojan.

JEJ DUSZA.

(Z Lucjana Paté.)

Oh! czy ty sądzisz, że innych śladem
Kocham cię za to:
Że cię twych włosów czarny dyadem,
Stroi bogato?...
Że oczy twoje, usta z koralu,
Taki czar mają?
Nie! bo to wdzięki, co nie bez żalu,
Lecz przemijają.
Nie! bo czyż serce moje by miało,
Gasnąć tak właśnie,
Przyćmione twoich powabów chwałą,
Jak piękność gaśnie?
O! ja cię kocham moja jedyna,
Tak silnie, błogo,
Że mej miłości ani śmierć sina,
Ni czas nie zmogą.
Gdy skroń ku tobie schylam nieśmiało,
W niemym zachwycie:
W czarnych twych oczach, duszę twą białą
Kocham nad życie!

Władysław Bełza.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

— Edwardku — rzekłem, gdy tylko znaleźliśmy się za furtką — mów wszystko cobyś pragnął mieć w tej chwili?

Cukierki — odpowiedział bez namysłu.

— Co więcej?

— Pomarańcze.

— Co więcej?

— O figi i rodzenki i śliczne kicie kochane, i bęben, i książki z obrazkami i małe foremki do robienia pudingów z gliny!

— Czy jeszcze co więcej?

— Oh, tak dużego psa i... i... i kozła! i wózek z uprzężą, żeby mnie kozioł mógł wozić!

— No, dobrze mój chłopcze, jutro dostaniesz to wszystko.

— O-o-o-h! — wykrzyknął Edwardek — to ty jesteś coś tak jak Bozia, prawda?

— Zkąd ci to na myśl przyszło, Edwardku?

— Bo możesz tyle rzeczy naraz zrobić. Ale czy biedny, mały Charl nic nie dostanie?

— I owszem, co tylko zechce. Charley'u co chcesz dostać od wujcia?

— Chcę cygara z czekolady.

— A co jeszcze?

— Nic jeszcze. Nie potrzebuję żeby mnie nudzić mnóstwem głupstw.

Przez całą drogę, i resztę wieczoru w domu, nie mogłem się oswoić z rozkoszną myślą, że jestem kochanym. Czułem dziwną pokorę, zwykłą towarzyszkę tak łatwego jak moje zwycięstwa; najszlachetniejsze myśli i postanowienia mieniały się ciągle z błogiemi marzeniami w mem sercu. Ale na co to wszystko opisywać! gdzież jest mężczyzna, któremu wyobraźnia lub wspomnienie, stokroć lepiej nie przedstawią moich zachwytów, niżbym je wyrazić potrafił.

Położyłem spać moich siostrzeńców; opowiedziałem im każdą historję jakiej tylko chcieli; a gdy Edwardek przy paciorku dodał — i miej w opiece Boziu tę ładną panią, którą wujcio Harry podważa — przerwałem jego modlitwę serdecznym uściskiem. Tak dalece spóźnioną była dziś zwykła godzina snu dzieci, że raz w łóżkach zasnęły natychmiast, nie mając nawet czasu na oznajmienie zamiaru, że tak zrobią. Twarzyczki ich były, jak zwykle we śnie, anielskie; gdym stał ze świecą przypatrując się im jeszcze, przypomniał mi się obowiązek od dawna smutnie zaniedbany. Pospieszyłem do bibljoteki i natychmiast napisałem co następuje, do mojej siostry:

Hillcrest poniedziałek w nocy.

— Droga Helenko, powinienem był może napisać do ciebie już dawniej, ale nie byłem jeszcze zupełnie pewny mego sądu o twoich synach. Przyznaję, że dotąd ślepy byłem na niektóre z ich cnót, i wyobrażałem sobie, że odkrywam w nich wady. Ale teraz łuski opadły mi z oczu i widzę, że siostrzeńcy moi są prawdziwymi aniołami! Jeżeli ci się zdaje, że mówię zagadkowo, odnieś się do Alicji Mayton po dalsze objaśnienia. Jeźli chcesz, nie przyjeżdżaj sobie i wcale do domu, wszystko idzie właśnie jak iść powinno; myślę, że nawet chočbyś i wróciła, i zdjęła ze mnie opiekę nad dziećmi, wprosiłbym ci się na gościa do końca pięknej pory roku: zmieniłem moje przekonania co do uciążliwości życia po za obrębem miasta, z koniecznością przejeżdżania się tam i nazad codziennie pociągiem. Zapytaj Toma, czy nie zna tu w sąsiedztwie jakiej małej realności do nabycia, o którejby znając moje gusta, wiedział, że mi się podobać może.

Kończę powtarzając raz jeszcze, że chłopcy twoi są dwoma aniołami, a Alicja Mayton trzecim, zaś najszczęśliwszym człowiekiem ze wszystkich co pracują w biurach handlowych jest

przywiązany twój brat

Harry."

Nazajutrz rano sam szukałem towarzystwa moich siostrzeńców. Czułem konieczną potrzebę wywnętrzenia się przed kimś — przed kimś z jasną, niewinną i współczującą duszą. Tęskniłem za matką lub siostrą; w ich braku nasunął się Edwardek i okazał się być doskonałym powiernikiem, pojętnym i prędkim w odpowiedziach. Mądrość najrozumniejszego filozofa, nie byłaby mi tak pożądaną tego ranka, jak szczebiot tego dziecka. Co do Charley'a, jego zwyczaj powtarzania bezustannie jednej i tej samej rzeczy, nie wydał mi się tak jak dawniej nieznośnym, gdy dziś od rana wrzeszczał zasłyszane — Miss Mayton, Miss Mayton. — Wyrazy te brzmiąc mi ciągle, jednostajnie jak dzwonek nad uchem, zyskiwały tylko wdzięk coraz to nowy i słodszy. Można się domyśleć, że Edwardek nie długo czekał z przypomnieniem mi wszystkich wczorajszych obietnic, a Charley przypadkowo upomniał się o swoje cygaro z czekolady. Przerwy te jednak dodawały tylko coraz nowego ożywienia mojej własnej radości. Spełnienie życzeń Edwardka zajęło dwie lub trzy godziny; resztę czasu spędziliśmy na przejażdzce, ale nawet wówczas kozioł z swym wózkiem musiał nam z tyłu towarzyszyć.

Plan na poobiedzie ułożony był tak, żeby zadowolnić każdego. Dałem Filipowi dolara, żeby dzieciom kozła zaprzągł i nauczył nim powozić; w ten sposób zabezpieczyłem sobie wolność wyjechania na spacer samemu, bez wywołania dwóch rozpaczliwych lamentów.

Miałem zawsze przekonanie, że koń odczuwa usposobienie swego pana. Mój poczciwy białonóżka, wierny towarzysz wojenny, zawsze pojmował doskonale chęci moje i zamiary; a tego poobiedzia zdawało mi się, że wspaniałe rumaki mego szwagra przejęte były duchem, który mnie ożywiał. Stąpały z dumą spokojną, a przecież lotne kopyta zdawały się ledwo dotykać murawy;

nie spłoszyły się nawet przed szkaradną lokomobilą, która nas minęła na drodze. — Gdym zajechał przed ganek p. Charkson, zastałem większość pań na werandzie — panie bo mają dziwnie dobrą pamięć czasami. Alicja ukazała się natychmiast, zachowywała się niby obojętnie dla pozoru, ale promienna jak gwiazda.

— Jakto? a gdzież chłopcy? — zawołała.

— Bałem się, żeby się nie naprzykrzyli matce pani — rzekłem — więc zostawiłem ich w domu.

— Oh, wątpię żeby mama mogła dziś jechać na spacer, bo jakaś niezdrowa; i spi właśnie.

— Więc możemy podjechać po chłopców — odrzekłem; a za ten pomysł czarodziejka moja, już zchodząca ze schodów, rzuciła mi takie wejrzenie, że po za nią w ganku stojące panie, byłyby miały przez tydzień o czem mówić, gdyby je były widziały.

Pojechaliśmy więc z taką powagą i paradą, jakby to była niedziela, a kościół celem naszej podróży; bardzo grzecznie wskazywaliśmy sobie każdy piękny dom lub ogród po drodze; spotykaliśmy wiele osób również używających świeżego powietrza i rozmawialiśmy obojętnie o ich koniach, pojazdach i sukniach. Ale gdy raz już zostawiwszy miasto po za sobą, skręciliśmy w „Szczęśliwą dolinę" i wjechaliśmy w drożynę leśną, samotną i w ciągłych gubiącą się zakrętach, odwróciłem się, by spojrzeć w twarz mojej jedynej. Oczy jej zbiegły się z memi, i mimo że lśniły blaskiem szczęścia, jakiegom w nich jeszcze nigdy nie widział, powoli tonąc w mym wzroku napełniły się łzami, a cudna głowa ukochanej mojej, jakby pod ich ciężarem pochyliła się na moje ramię.

Cośmy z sobą w ciągu tej długiej przejażdżki mówili, nie zajęłoby czytelnika. Doświadczenie nauczyło mnie, że powieściopisarz lepiej za wsze zrobi unikając w powieściach opisu rozmów kochanków, choćby nawet same osoby tychże kochanków, jaknajbardziej sympatycznemi były. Co więcej, ja sam już dzisiaj przypominając sobie ową naszę rozmowę, nic w niej szczególnego nie widzę; to tylko prawda, że jeśli czułem się szczęśliwym zeszłego wieczora, to teraz szczęście moje utwierdzone i uświęcone zostało. Pozyskać miłość i zaufanie naiwnej, ledwo wyszłej z dzieciństwa dziewczynki, jest już zaszczytem większym nad wszystkie te, które dać mogą pola bitew albo królewskie dwory; ale niczem to jest w porównaniu z tą chlubą, jaką czuje mężczyzna, gdy kobieta rzadkiego rozumu, taktu i znajomości świata, zwierza mu wszystkie nadzieje i obawy swojego serca, i z bezgraniczną ufnością zdaje na miłość jego stworzenie jej losu całego życia. Kobiety takie jak Alicja Mayton nie kochają na ślepo; ufność ich musi mieć źródło w przekonaniu, w najwyższym szacunku dla charakteru mężczyzny. Zastanowienie się nad tem podniosło mnie we własnej godności, i przemieniło za to jedno popołudnie z tego czemkolwiek byłem przedtem, w człowieka jakim miałem nadzieję stać się kiedyś.

Ale godziny uciekały jedna za drugą i wreszcie musiałem, choć Bóg wie jak niechętnie, zawrócić konie ku domowi. Zostawiliśmy już w tyle całą „Szczęśliwą dolinę" i znowu zbliżyliśmy się do dworków.

— Teraz musimy się zachowywać bardzo przyzwoicie — rzekła Alicja.

— Zapewne — odpowiedziałem, — oto pożegnanie błogim dzieciństwom, na dzisiaj — pochyliłem się ku niej i łagodnie objąłem jej kibić ramieniem; ona podniosła ku mnie drogą twarz swoję, z której ufność i szczęście wygnały ślad ostatni narzuconej konwenansami oziębłości; już, usta moje jej ust szukały, gdy naraz... wrzask jakiś przeraźliwy, prawie nadludzki rozdarł powietrze i rozdzieliwszy się na dwa tony niezgodne, przedłużał się w nieskończoność. Konie się żachnęły, a Alicja, błogosławione bądźcie wszystkie przestrachy, teraz zawsze i po wieki wieków, Alicja przytuliła się silniej do mnie. Głosy zdawały się przybliżać, a towarzyszył im głuchy łoskot jakby wleczonego po ziemi, drewnianego pudła. Naraz na jednem z zakątków drogi, ujrzałem młodszego mego siostrzeńca, który z nieznanej zjawiwszy się sfery, zakręcił linję paraboliczną w powietrzu, odbił się o jakąś wyniosłość na drodze, i wyjąc stoczył się do rowu. W tej chwili z za zakrętu ukazał się kozioł w galopie wlokąc za sobą przewrócony wózek, a za wozkiem biegł Edwardek trzymający się wózka obiema rękami, i krzyczący, jakby go kto ze skóry obdzierał. Wózek potrącił o kamień, Edwardek musiał się puścić i brzdęknął o ziemię jak długi, a kozioł odegrawszy już swoją rolę w dramacie, zwrócił się spokojnie na ścieżkę wiodącą do mieszkania swego dawnego właściciela.

— Edwardku — zawołałem, bądź mi cicho natychmiast i chodź tutaj. Gdzie Filip?

— Filip... Filip... — z ciągłem szlochaniem i zanoszeniem się zaczął Edwardek, — poszedł tylko zaciąć kozła biczykim, a on zaczął fikać...

— Brzydki stary kozioł zaczął fikać — potwierdził Charley gramoląc się z rowu.

— No, idźcież prosto do Małgosi i każcie się umyć i przebrać.

— O Harry, — wstawiła się Alicja, — tak ich odprawiasz, gdy przecież przed chwilą w takiem byli niebezpieczeństwie! Chodźcie tu, do waszej własnej cioci Alisi, Edwardku i Charley'u, przecie sam mówiłeś Harry, że możemy zabrać chłopców po drodze. No, cicho nie płacz Charl'u daj mi się obetrzeć z błota i pocałować, a wszystko zaraz dobrze będzie.

— Alicjo — protestowałem,—nie dajże tym zabłoconym chłopcom gramolić się tak po twojej sukni.

— Milczeć, mój panie! — odrzekła z żartobliwą powagą—taka to wdzięczność twoja? Ciekawam kto panu oszczędził trudu oświadczenia mi się?

Pojechaliśmy więc do dworku p. Clarkson, wyglądając na ludzi, którzy się całkiem poświęcali dla dwojga nieznośnych dzieciaków; poczem pospieszyłem wrócić do domu, zanim by te dzieci miały czas rozbić złudzenie, zdradzając tajemnicę dziejów tego poobiedzia. Wkrótce spotkaliśmy biegnącego Filipa; ledwo nas poznał, wołał już zdaleka.

— A wy małe zbóje, za pozwoleniem panicza, wy rozbójki, dziękujcie Matce Najświętszej, że jeszcze kości macie całe! To mi zuchy dopiero! żeby zobaczyli hipopotama przywiązanego do wozu, jeszcze by myśleli, że to akurat dla nich robota. Zbytniki te!

Co do mnie, nawet tysiące hipopotamów i wozów, nie byłyby wstanie zamącić mego niebiańskiego spokoju owego wieczora. Nawet siostrzeńcy moi zdawali się przeczuwać ważność chwili. Może było to czarodziejskim skutkiem dotknięcia mojej słodkiej wróżki; a może pochodziło tylko z naturalnego po nadzwyczajnem podnieceniu, znużenia, dość, że zachowywali się tak spokojnie, że tych dwoje zabłoconych dzieci mogło dać wyobrażenie o tem, jakiemi być muszą aniołki w raju. Nawet kolacją jedli przyzwoicie nie oblewając obrusa i sukienek, a po jedzeniu nie poroznosili jak zwykle po wszystkich pokojach okruchów chleba, masła i szynki dla pożywienia nimi fortepianu i koszyczka do biletów.

Prosili o piosenkę przed spaniem, a gdym im zaspiewał „Daj mi się poić blaskiem twych oczu" i „ Ty, ty jedynie w sercu mem władasz", słuchali cicho patrząc się na mnie z uwagą. Idąc spać zaprosili mnie do swego towarzystwa, ale nie okazywali chęci do zabaw ze szczypaniem, drapaniem i skakaniem, zwykle towarzyszących chwili kładzenia się do łóżek. Edwardek już leżąc, zamknął oczka, złożył rączki i zaczął paciorek:

— Drogi Boziu, kochaj mamę i tatę i wójcia Harrego, i Charl'a i wszystkich; o tak i ogromnie kochaj tę śliczną panią, co mnie dzisiaj tak popieściła gdy nas kozioł wywrócił, i pomogła mi w mojem nieszczęściu; i daj żeby mi jeszcze nieraz pomogła, przeż Chrystusa Pana naszego, Amen.

A Charley pocił się, wzdychał, zaciskał rączki i nareszcie zawołał:

— Drogi Boziu, nie daj już nigdy, żeby mnie ten brzydki kozioł do rowu rzucił, a daj żeby wójcio Harry i ta ładna pani, którą on całuje, byli zawsze przy mnie gdy sobie co złego zrobię. (C. d. n.)

GŁOSY PRASY WARSZAWSKIEJ

O NASZYCH STOSUNKACH.

Rozdział jaki nastąpił roku zeszłego w łonie polskiej delegacji do wiedeńskiej Rady Państwa, dobiega obecnie zenitowego punktu przełomu. Zrazu nieznaczna różnica między większością i słabą mniejszością polskiego klubu w małoważnej kwestji regulaminu, służącego temu politycznemu ciału za normę obrad, z czasem urosła w zasadnicze rozdwojenie, które z kolei rzeczy przerodziło się lub przerodzić się musi w podstawową walkę dwóch partyj—zachowawczej i postępowej—dwóch zasad społecznych, pod sztandarem których grupuje się każdy a więc i galicyjski ogół. Podobny rezultat tak zwanej „secesji członków polskiego klubu" wyłaniający się co raz jaśniej z biegu wypadków, nietylko odpowiada zdrowej logice politycznej działalności, ale nadaje całej sprawie rzeczywistą ważność i czyni ją nader interesującem zjawiskiem dla wszystkich, a szczególniej dla prawdziwych zwolenników wszelkiego postępu. Jest to właściwy powód, jaki skłania umysły głębsze do zajęcia się tą sprawą, która dziś jeszcze znajduje się w okresie walki, ale przybiera wszystkie znamiona dowodzące, iż bojownicy z obu stron przystąpią do skuteczniejszego działania, do ściślejszej organizacji partyj politycznych, co dla życia konstytucyjnego i w ogóle polityczno-ideowego, ogromne ma znaczenie. Wprawdzie i w Galicji istniały dotąd liczne, może za zbyt liczne nawet—partje, ale byt ich albo się opierał na sile lokalnych zwykle ekonomicznych przyczyn, albo wypływał z chwilowego nastroju, nie gruntując się na stałych, dobrze określonych zasadach. Tylko partja ultra-zachowawców i klerykałów, czyli tak zwanych „stańczyków," skupiwszy w ostatnich czasach wszystkie żywioły feodalno-jezuickie, zdołało s'ę zwarto uorgani-

zować i tym sposobem zapewnić sobie przewagę, bez żadnej przeciwrównowagi. Gdyby partja stańczyków składała się z szlachetniejszych, niż to ma miejsce, pierwiastków, to brak wszelkiej kontrpartji czyniłby z niej klęskę szkodliwą, tem więcej im bardziej jest samowładną i silną. Brak bowiem dostatecznej spójni, brak poważnych i doświadczonych członków, a co najważniejsza brak przywódców nie dozwalał zwolennikom idei postępowych zorganizować się w godne poszanowania stronnictwo, z któremby przeciwnicy oraz całe społeczeństwo liczyć się musiało. Kilku mniej więcej popularnych oratorów, kilku dziennikarzy, nie mogło zjednać zaufania obozowi postępowemu. Dopiero z wypadków „secesji“ poczyna się wyłaniać dla sprawy postępu w Galicji poważniejszy zastęp przywódców, jak i zasady w imię których rozpoczętą została akcja, tem bardziej zajmująca, iż powiązana z wypadkami europejskimi. Spór przeto secesjonistów ze stańczykami jest epizodem poważnym, daleko po za obręb lokalności sięgającym i poważne dla społeczeństwa polskiego—a w szczególności dla idei postępowych społeczeństwo polskie ożywiających, sprowadzi skutki. Tylko z takiego punktu widzenia objaśnione wypadki, stają się logiczne, a zarazem w takim kierunku dalszy ich rozwój upragnionym.

Pierwsze zaczątki secesji z wstępnych artykułów „Przeglądu“ czytelnikom naszego pisma są znane. Pięciu członków klubu polskiego wystąpiło z propozycją rewizji ustawy, określającej działanie klubu na zewnątrz, jako partji parlamentarnej. Według prawideł dotychczasowych, klub jako solidarne ciało przyjmował w obradach izby udział, za pośrednictwem specjalnie delegowanych członków. Rozumie się iż takie delegowanie następowało większością głosów i w izbie klub odzywał się tylko w imię tych zasad, które jego większość wyznawała. Zasady mniejszości nie miały nigdy pola do wypowiedzenia się i nigdy nie były uwzględniane. Ztąd poszło, że klub polski oraz stojąca po za nim Galicja, wyglądali w oczach całej monarchii jako zbrojny zastęp feodalno-jezuicki, gdyż rej wodzili stańczycy; nigdy zaś z ław polskich nie zabrzmiał głos liberalny, postępowy i nikt w Austrji lub Europie nie mógł nawet przypuścić, że takie ideje mają w kraju zwolenników lub przedstawicieli. Otóż reformatorzy żądali, aby przez ograniczenie zasady solidarności do tych wypadków, gdzie takowa jest dla społeczeństwa i kraju pożyteczną, dozwolono w innych sprawach szerszej członkom swobody, w zabieraniu głosu przy rozprawach izby. Przynosi to wielki zaszczyt zmysłowi praktycznemu stańczyków, iż wnet pojęli niebezpieczeństwo dla siebie, z tyle na pozór niewinnej reformy. Dotąd cała ich potęga zależała na wmawianiu tym, kto tylko wierzyć chciał, że są oni jedynem dodatniem, kraj legalnie reprezentującem stronnictwem, gdyż ich głos wyłącznie był tylko słyszany i popierany przez wota *wszystkich* członków klubu, chociażby w przekonaniach wręcz przeciwnych. Co tylko w kraju nie było zdania stańczykowskiej większości klubu, nie miało albo legalnej podstawy, albo ogłaszanem było za warcholstwo, rzucające się na uprawnioną reprezentację Galicji. Dopuścić więc podniesienia się z łona delegacji głosów przeciwnych, liberalnych, było to ufundować stronnictwo postępowe, które swój wyraz znajdowałoby w klubie. Z tego już powodu większość klubu wystąpiła nader nuergicznie przeciwko wszelkim zachciankom reform, do czego przymięszały się namiętności osobiste, wybuchłe tem silniej im stronnictwo stańczyków więcej jest kliką, przez niedobitki oligarchów, kilku jezuitów i karjerowiczów administrowaną. Stronnictwo to schowało się jak za parapet forteczny, po za sprawiedliwą w wielu wypadkach zasadę „solidarności koła“ wobec obcych i niechętnych żywiołów izb wiedeńskich i chciało wyzyskać tę ideę na swą korzyść aż do ostateczności, aż do absurdum. W tym kierunku stańczyki starali się użyć wszelkich środków możliwych i niemożliwych, godziwych i niegodziwych. Począwszy od codziennie z wielką wytrwałością przeprowadzanej sofistyki ich organu krakowskiego, aż do uchwały koła sejmowego we Lwowie, poruszono wszystkie sprężyny, aby zabezpieczyć w całej surowości zasadę solidaryzowania się delegacji wiedeńskiej, a właściwie solidaryzowania się tejże z zasadami i interesami stańczykowskiemi. Nie wahano się na pole walki wyprowadzić przekonań poselskiego koła w Berlinie, nawet takich weteranów parlamentaryzmu jak Fr. Morawski, który nie wglądając w praktyczne konsekwencje zasady solidarności, napisał list apoteozujący teoretycznie słuszne tejże idei skutki. Stańczykowskie jednak usiłowania już doznały straszliwego ciosu z pierwszą mową samborskiego posła Hausnera. Jest ona punktem zwrotnym, nadała wypadkom nowy kierunek, ideę oblokła w ciało, bo na usługi tej idei stanął człowiek. Ogromne powodzenie, jakie miała mowa Hausnera w Wiedniu, a nawet i w Europie, wstrząsnęło do gruntu obóz stańczykowski, bo mu wskazało początek końca wyłączności panowania w Galicji. Nie będziem na karb zacofańców krakowskich zwalać smutnych wypadków, które krwią niewinną zrumieniły bruk Lwowa, podczas uczty na cześć p. Hausnera wyprawionej. Niezręczność i beztakt tamtejszej policji zadały jednak cios stańczykom, a z upadku nie podniosła ich świeża kampania w Wiedniu, podczas rozpraw nad traktatem berlińskim w izbie wiedeńskiej stoczona. Stańczycy przewidując ten rezultat, starali się pilnie i przebiegle odwrócić cios i nie zaniedbali niczego, ażeby przynajmniej klęskę zmniejszyć ile możności. Niestety! wszystko bezskutecznie, gdyż koniec końców wpadli w pułapkę przez siebie zastawioną i skompromitowali się haniebnie.

Głównemi argumentami stańczyków rozwijanemi na wszelkie tony przeciwko Hausnerowi były: zerwanie przezeń solidarności klubu, jak gdyby solidarność po to istniała żeby dusić talenta i każde swobodne słowo, i przejście tego posła do nienawistnego obozu wiernokonstytucyjnego, jak gdyby uznanie w pojedynczym wypadku słuszności sprawy popieranej przez to stronnictwo, znaczyło już akceptację jego zasad. Bijąc za to na p. Hausnera, stańczycy ferowali sobie stanowisko obrońców kraju, jego polityki, godności i interesów. Kraju nie można było zostawić w wątpliwości i pan Hausner postąpił nader zręcznie, postanowiwszy zabrać głos przy rozprawach nad traktatem berlińskim. Tu miejsce nadmienić, iż „Czas“ krakowski nie pominął sposobności w błazeński i plotkarski sposób postarać się o okrycie śmiesznością pogromcę swej partji. Na parę tygodni przed mową kazał sobie pisać ze Lwowa, iż p. Hausner po kilka godzin dziennie jak aktor przed lustrem „uczy się“ swej mowy, której „treść“ komunikował swym przyjaciołom, lwowskim dziennikarzom, aby od nich zasięgnąć języka. Później „Czas“ słowo w słowo naprzód powtórzył tę mniemaną „treść“ w korespondencjach ze Lwowa i Wiednia, nicując ją w sposób nielitościwy, aby wrażenie przyszłej mowy osłabić i zniszczyć przed czasem. Ten nieszlachetny manewr niecofającego się przed żadnym środkiem organu jezuitów, dobrze charakteryzuje sposób walki; nie potrzebujemy zaś zdaje się dowodzić, iż wszystko co „Czas“ o mowie pana Hausnera powiedział—było wierutnem kłamstwem, gdyż mowa ta przeważnie nosząca charakter polemiczny, tokiem rozpraw izby wywołany, żadną miarą nie mogła być wcześniej niż na parę godzin przed wystąpieniem na trybunie, pomyślaną. Jak z jednej strony dowodzi to wielkiego talentu p. Hausnera, który nietylko jest znakomitym myślicielem ale i improwizatorem mówcą, tak z drugiej jej polemiczność zadała straszliwy cios większości klubu, uosobionej tym razem w panu prof. Dunajewskim. Rozprawy Izby Wiedeńskiej nad traktatem berlińskim obracały się głównie koło tej konstytucyjnej kwestji, czy Izbie służy prawo zatwierdzenia traktatów politycznych, czyli też nie służy. Kiedy podczas obrad wspólnych delegacji państwa w Peszcie, przedłożył rząd kredyta okupacyjne, komisja budżetowa postanowiła nie wchodzić w ich rozbiór, dopóki Rada państwa nie zatwierdzi traktatu berlińskiego. Po długich naradach ministerstwo postanowiło przyjąć to zastrzeżenie, ale już przy następnych dyskusjach w delegacjach, jakby żałując uczynionego ustępstwa, poczęło się cofać i zaprzeczać Radzie państwa prawa zatwierdzania traktatu. Ażeby objaśnić stosunek delegacji polskiej do tej kwestji, posiłkować się będziemy słowami jednego z miejscowych, dobrze poinformowanych dzienników: „Już w delegacjach ten kierunek ministerstwa znalazł w jednym z delegatów polskich szermierza, który starał się sofistycznie objaśnić, iż pomimo wyraźnego brzmienia konstytucji grudniowej, Rada państwa prawa zatwierdzania traktatów nie posiada. Jednak koło polskie w delegacjach wspólnych nie podzielało tego przekonania, pozwoliło przecież wbrew zasadzie solidarności wygłosić tę interpretację sofistyczną na publicznem posiedzeniu, *jako osobiste członka przekonanie*. Dr. Kabat uczynił to jednak bez zastrzeżenia, iż to jest tylko osobiste jego zdanie, a nie zdanie zbiorowe delegatów polskich, po czem stańczycy zaczęli dowodzić, że skoro Dr. Kabat tego zastrzeżenia publicznie nie wypowiedział, to już całe koło polskie, ba cały kraj powinien interpretację Dr. Kabata przyjąć i popierać solidarnie! I uderzyli stańczycy na Dr. Grocholskiego, że w komisji traktatowej zasiadając, później zerwał tę nowego rodzaju solidarność i uznał prawo Rady państwa do zatwierdzenia traktatu berlińskiego.“—„I rozpoczęła się dalsza, coraz śmielsza agitacja stańczyków w kole polskiem i w „Czasie“ za zaprzeczeniem Radzie państwa prawa zatwierdzania onego traktatu, w myśl oświadczenia ministerstwa przez usta ministra Dr. Ungra i w myśl wywodów Dr. Kabata. Ważyły się opinie w kole, ale w końcu dworska*) opinia stańczyków przemogła; zdezauwowano opinię Dra Grocholskiego wyrażoną w komisji, a uznającą to prawo i *większość* koła postanowiła, aby Dr. Dunajewski w imieniu koła zaprzeczył Radzie państwa prawa zatwierdzania traktatów i odpowiednią postawił rezolucję.“ „Ministerstwo spodziewało się z początku, że

*) Stańczycy uznają się oponentami rządu czyli ministerstwa, a popierają bezpośrednio dwór czyli to ministerstwo, które idzie za wskazówką sfer dworskich.

*

ta rezolucya polskiego koła, każąca Radzie państwa przyjąć traktat berliński „do wiadomości“ może zyskać większość, gdyż i całe tak zwane stronnictwo prawa i wielu z centrum i lewicy należnych ściśle do obozu rządowego, za nią głosować będą“ „Ale z drugiej strony kto Radzie zaprzecza prawa zatwierdzania traktatu berlińskiego, ten w razie gdyby odnośna rezolucja nie uzyskała większości, już od głosowania nad wnioskiem zatwierdzenia traktatu, usunąć się konsekwentnie musi od głosowania. Czy głosowałby bowiem za zatwierdzeniem czy przeciw, zawsze uznawałby prawo Rady państwa, któremu zaprzecza i popełniłby największą parlamentarną niedorzeczność.“ „Tymczasem zaczęło coraz więcej wychodzić na jaw, że pomimo wszelkich zabiegów rządowych, rezolucja koła polskiego prócz stronnictwa prawa, bardzo mało znachodzi zwolenników tak w klubie lewego centrum jak i w klubie lewicy. Tak daleko nie chcieli się w dworskiej polityce posuwać nawet kompetujący o posady ministerjalne Niemcy! Ministerstwo więc znalazło się w wielkim kłopocie. Co tu począć? Jeżeli po upadku rezolucji Dra Dunajewskiego czyli koła polskiego, Polacy i stronnictwo prawa, a nawet sami tylko Polacy usuną się od głosowania nad wnioskiem zatwierdzenia traktatu, to wniosek ten upadnie i traktat nie będzie zatwierdzonym. Z tego fatalnego położenia, starała się znów wydobyć ministerstwo delegacja polska, nawet popełnieniem niekonsekwencji, czyli niedorzeczności parlamentarnej. Koło polskie na posiedzeniu swem d. 19. stycznia uchwaliło, iż gdyby upadła przy głosowaniu jego rezolucja zaprzeczająca Radzie prawa zatwierdzania traktatu, ma natenczas koło natychmiast porzucić to stanowisko, od głosowania nad wnioskiem komisyjnej większości się nie usuwać, lecz *uznawszy* prawo Rady państwa głosować za zatwierdzeniem traktatu berlińskiego!“ „Oto jest smutna rola, którą koło polskie odegrało w tej sprawie, przypieczętowując tem swą sześcioletnią działalność.“ „Co wobec tego faktu pomogą wszelkie wywody Czasu i jego adherentów, co wszelkie wymyślania, zżymania się delegacji na pana Hausnera i secesjonistów, co oświadczenia Dra Grocholskiego, iż p. Hausner kłótnię domową wyprowadził na arenę Rady państwa, gdy ten w ostatniej mowie zbijał niedorzeczne wywody Dra Dunajewskiego? Czy może zaprzeczenie lub niezaprzeczenie Radzie państwa prawa konstytucyjnego, ma ścisły związek ze sprawą Galicji? Czy pan Hausner w tych sprawach nie stoi na stanowisku narodowem delegacji, a nawet czy je nie wypowiada dobitniej i śmielej? P. Hausner zgruchotal na miazgę wszystkie wywody pana Dunajewskiego, wypowiadane w imieniu koła polskiego, in rem dworskiej polityki, a koło polskie po takiej klęsce uciekło się pod skrzydło solidarności, ale nie w interesie kraju, bo tę solidarność poparł p. Hausner potężnie, ale w interesie polityki dworskiej, której narzędziem dowolnem koło się stało.“

Przytoczyliśmy ten ustęp, bo doskonale on zapoznaje nas z przebiegiem sprawy i rzuca światło czem jest właściwie polityka polskiego koła w Wiedniu, jak ona jest chwiejną i do potrzeb dworskiej partji zastosowaną i do czego się to używa owa solidarność, w imię której stańczycy odsądzają od czci i wiary wszystkich, którzy nie popierają ich zamiarów. Co się zaś tyczy samej mowy pana Hausnera, ocenimy ją w przyszłym artykule, gdyż z wielu względów dokument ten wymaga gruntownej oceny: tu zaś tylko jeszcze dodamy, iż po mowie ostatniej posła samborskiego, stał on się naturalnym naczelnikiem partji postępowej której organizacja pójdzie teraz pospiesznie, czego się spodziewamy przy zbliżających się wyborach do Rady państwa. Wtedy dopiero będzie można na prawdę mówić o organizacji klubu polskiego na słusznych i nieupokarzających dla mniejszości zasadach, o co obecnie na pierwszy początek partji postępowej chodziło.

(*Przegląd tygodniowy.*)

KORESPONDENCJE

Genewa 7. lutego 1879 r.

(*Dokończenie*).

Wielbicele historji Taine'a podnoszą rozległą jego erudycyą, która, jak mniemają.stawia tego autora wyżej od jego poprzedników, Jest to bardzo przesadne zdanie, które wypływa po części z usposobienia natury ludzkiej, dla nowych bogów zapominać stare zasługi. Mojem zdaniem, dwunastotomowa historja Ludwika Blanc'a zawsze jeszcze pozostaje najlepszą opowieścią wypadków wielkiej rewolucji. Porównanie Taine'a z Blanc'iem nie wypadnie pierwszemu na korzyść. Weźmy np. opis wzięcia Bastylii. Taine widzi tylko w tym wypadku ciemnotę i rozpasanie się złych namiętności ludu. Szczegóły wszakże, które przytacza, znane już są z historji Blanc'a. Historyk ten, który krytycznie zbadał wszystkie źródła, dotyczące Bastylii, który faktowi temu poświęcił cały rozdział, nie ukrywał wcale ujemnych stron tego epizodu, chociaż nie tai się bynajmniej z zupełnem swem współczuciem dla ludu, dla sprawy rewolucji. Śmierć komendanta Bastylii, de Launay'go, wydaje się u Taine'a potwornym czynem. Czy można jednak porównać tę doraźną zemstę, spowodowaną przeważnie Pamiętnikami Linguet'a, które w ostatnich latach przed rewolucją tak zohydziły Bastylię, z owym szeregiem powolnych i na zimno wykonywanych okrócieństw, których współuczestnikiem już z samego urzędu był także i komendant?

Przypuśćmy, że Murawiew dostałby się do powstańców. Czyż zabójstwo jego nie byłoby raczej objawem dobrych aniżeli złych uczuć? De Launay wprawdzie nie był Murawiewem, ale imię jego, pamiętajmy, zyskało już niekorzystny rozgłos od czasu pojawienia się Pamiętników Linguet'a. Tego jednak Taine nie chce wiedzieć.

Pierwszy tom historji Taine'a, opisujący przedrewolucyjną Francję, przetłomaczył wzorowo L. Katscher na język niemiecki. Przekład swój poprzedził biografią Taine'a, z której biorę główne szczegóły.

Taine urodził się 21. kwietnia 1828 r. w Vouziers, małem miasteczku pomiędzy Szampaniją a Ardenami, z rodziny zamożnej i wykształconej. Ojciec jego, uczony adwokat, uczył go łaciny; stryj, który przebywał długi czas w Ameryce, angielskiego języka. Chłopcowi zabraniano czytać francuskie romanse, ale angielskie pozwalano; z tego powodu zapoznał on się wcześnie z beletrystyką angielską, której głównie zawdzięcza późniejszą swoją sławę. Kiedy miał 13 lat, odumarł go ojciec. Zajęła się więc jego dalszem kształceniem matka, kobieta dzielnego charakteru. Umieściła go naprzód w szkole prywatnej w Paryżu, następnie w kolegjum burbońskiem. Taine był tam pierwszym uczniem i został następnie przyjęty do Szkoły Normalnej, rodzaju Seminarjum kształcącego profesorów uniwersyteckich, gdzie kolegował z Edmundem About'em, Prévost-Paradol'em, J. J. Weiss'em, Franciszkiem Sarcey'em, którzy tak samo jaki Taine, krótko tylko byli profesorami a następnie poświęcili się literaturze i dziennikarstwu. W Szkole Normalnej nieustannie podnoszono rozmaite naukowe kwestje i z zupełną niepodległością wypowiadano swe zdania. Sami profesorowie zachęcali do tego. Skutkiem tego wyrabiała się niezależność opinii, która wielu następnie zaszkodziła w karjerze urzędowej. Taine ucierpiał pierwszy. Z powodu, że rozprawa jego egzaminacyjna miała świadczyć o „błędnych“ i „szkodliwych“ dążnościach, odrzucono go. Zawdzięczając tylko staraniom Guizot'a i Saint-Marc Girardin'a dostał posadę nauczyciela, ale i tę, wbrew jego prośbie, wyznaczono na południu Francji, w Tulonie. Lekceważono go i przerzucano z miasta do miasta: po czterech miesiącach do Nevers, a znowu po czterech miesiącach do Poitiers. Kiedy zaś wymówił się od napisania ody na przyjęcie biskupa, otrzymał naganę od ministra i został przeniesiony na posadę nauczyciela szkoły elementarnej w Besangon'ie. Tego już było za dużo, Taine podał się do dymisji. Przybywszy do Paryża, dostał bardzo korzystną posadę nauczyciela w szkole prywatnej, ale i tę wkrótce musiał porzucić, ponieważ ministerstwo członkom sztabu uniwersyteckiego, do którego i Taine jako były uczeń Szkoły Normalnej należał, zakazało nauczać po pensjach prywatnych. Zajął się więc nauczycielstwem domowem, a przytem zaczął uczęszczać na wykłady do Szkoły Medycznej, do Sorbony i do Muzeum nauk przyrodniczych. W 1853 r., po złożeniu dwóch rozpraw, łacińskiej i francuskiej, otrzymał stopień doktora literatury (docteur en lettres). Rozprawa jego francuska: „Les fables de Lafontaine“, odznaczająca się nowością poglądów i bystrością krytyczną, zwróciła na siebie uwagę i wkrótce musiano powtórnie ją wydać. Z niemniejszą życzliwością powitano także jego rozprawę o Liwiuszu, napisaną na konkurs, ogłoszony przez Francuską Akademję. Villemain, przedstawiając ją do nagrody ocenę swoją zakończył następującemi słowy: „Możemy tylko pragnąć, ażeby na wszystkie nasze konkursy stawali tacy jak Taine do współubiagania się o nagrodę i ażebyśmy w naszych szkołach mieli podobnych nauczycieli“. Był to przytyk rządowi. Przyganiał jednak garnek kotłowi, że smoli. Kiedy bowiem Taine wydał następnie tę rozprawę i umieścił do niej przedmowę, ta ostatnia wywołała wielkie zgorszenie w Akademji, że dała nagrodę autorowi, który w jej mniemaniu zaprzeczył swobodzie woli ludzkiej. Uporczywa choroba gardła zmusiła Taine'a udać się do kąpieli w Pirenejach, gdzie przebywał dwa lata. Podróż swoją opisał bardzo żywo, a filozoficzne poglądy, któremi pod formą djalogu opatrzył książkę, nadają jej poważniejsze znaczenie. „Podróż do Pirenejów“ miała takie powodzenie, że wydano ją następnie z pysznemi ilustracjami Doré'go. Taine nie bez przyczyny opis podróży swojej połączył z filozoficznemi rozmyślaniami, w tym bowiem czasie zajmował się filozoficzną lekturą, jak to świadczy wkrótce wydane przez niego studjum: „O francuskich filozofach 19 stulecia“, Laroncignier'ze, Royer-Collard'ze, Maine de Bizan'ie, Joufroy i Wiktorze Cousin'ie. Jest to dowcipna krytyka „urzędowej filozofii“. Na końcu książki autor podaje w głównym zarysie sławną metodę badań filozo-

graficznych i czyni to znowu pod formą dialogu pomiędzy Piotrem i Pawłem. W 1861 r. Taine wyjechał do Anglii i bawił tom dość długo pisując korespondencje do dziennika „Temps“. Korespondencje te wyszły w osobnej książce p. t. „Notes sur l'Angleterre,“ przetłumaczone przez Świętochowskiego na polski język. Ważniejszym jednak owocem pobytu Taine'a w Anglii była trzytomowa „Historja angielskiej literatury“, która pojawiła się w 1863 r. i zapewniła autorowi europejską sławę. Anglicy uważają tę książkę jako najlepsze dzieło o ich literaturze. W rok później pojawił się czwarty tom zawierający monografje o Macauley'u, Dickens'ie, Carlyle'u, Millu, Thackeray'u i Tennyson'ie. Monografje o Macauley'u i Millu podała w polskiem tłumaczeniu *Niwa*. Nadmierna umysłowa praca, jakiej Taine oddawał się w Anglii, wyczerpała zupełnie jego siły. Przez czas dość długi nie mógł niczem zgoła zajmować się, nie mógł dobrze skupiać myśli. Czytanie nawet dziennika było nad siły jego. Dopiero po dłuższym czasie zaczął znowu pisać. Artykuły jego drukowane poprzednio w czasopismach i dziennikach, pojawiały się następnie w osobnych książkach. Tak wyszły: „Włochy“ w dwóch tomach (ustępy z tego dzieła tłumaczył warszawski *Pamiętnik* naukowy), „Filozofia sztuki“, „Ideał w sztuce“ (przełożył Mierzejewski), „O inteligencji“ (tłumaczone na polski), „Filozofia sztuki w Holandji“, „Filozofia sztuki we Włoszech“. Taine powoli z opozycji przeszedł do szeregu przewodników opinji publicznej. W ostatnich czasach dano mu posadę profesora literatury w Szkole Wojskowej Saint-Cyr i profesora sztuki i estetyki w paryskiej Akademii sztuk pięknych. Trzeba jednak dodać, że nastąpiło to nie tyle z powodu zmiany samego Taine'a, ile z powodu zmian zaszłych w ustroju politycznym Francji. Wszakże zbliżenie się do warstw rządzących nie pozostało bez wpływu na jego sposób myślenia. Zwłaszcza jest to widocznem, kiedy z powodu konwentu (1792—1794 r.) wspomina o komunie paryskiej 1871 r. Tu pozorna zimna krew porzuca go, a namiętność wciska mu do ust nieprawdy i oszczerstwa.

Kogoby czarne malowidła Taine'a zniechęciły potrosze do ludu, niech przeczyta beletrystyczno-historyczny utwor byłego ministra wojny w komunie paryskiej, Eugenjusza Razona, p. t. „Wielkie dni rzeczypospolitej“ (Les grands jours de la republique, Paris 1878), w którem to dziele autor przedstawia wzniosłe przykłady bohaterstwa, poświęcenia i braterskich uczuć ludu. Przypomina tu wzruszające epizody z epoki objętej dwudziestu laty, od listopada 1831 r. do 1852 r. Książkę tę wydano już po śmierci Razona, która nastąpiła w czerwcu zeszłego roku w Genewie. Poprzedzają ją biograficzne szczegóły o byłym ministrze wojny, skreślone piórem Leona Cladel'a, Tony Revillon'a i Artura Arnould'a. Zwłaszcza opowiadanie ostatniego pisarza o pobycie Razona w Genewie jest żywe i pełne rzewności.

Razona, zawdzięczając poświęceniu jednego z osobistych swych przyjaciół, który trzeba dodać wcale nie był socjalistą, 24. czerwca 1871 r. za paszportem hiszpańskim dostał się do Genewy. Rząd wersalski, dowiedziawszy się o tem, zażądał wydania go, jako winnego mordów, grabieży, pożaru i więzienia osób. Skutkiem tego władza federalna poleciła genewskiej kantonalnej władzy uwięzić Razona, co i nastąpiło 17. lipca. Wypadek ten wzburzył silnie ludność miejską, zwłaszcza robotniczą. Wysłano delegację do Rady Stanu, podano petycję do Rady federalnej, przedstawiając, że wydanie byłoby czynem nieprawnym i zbrodniczym ze strony władz. Robotnicy, zorganizowawszy oddziały zbrojne po wszystkich drogach prowadzących do Francji, oświadczyli, że nie dopuszczą wywiezienia Razona. Gdzieindziej nie wahanoby się strzelać do ludu, ale w Genewie jego wola wzbudza pewne poszanowanie. Skoro więc rząd wersalski, pomimo nalegań Rady federalnej, nie przysłał żadnych dowodów na potwierdzenie swych oskarżeń, po miesięcznem więzieniu uwolniono Razona. Bez mienia i żadnych środków do życia były minister komuny nie wiedziałby co począć na bruku genewskim, gdyby nadspodzianie nie podał mu ręki pomocnej nie znany mu dotąd wcale obywatel Fesneau. W jego domu znalazł rodzinę, która przytuliła go serdecznie. Wkrótce nastręczył się zarobek. Dziennik *Émancipation*, wychodzący w Tuluzie, otworzył mu swe szpalty, lecz na nieszczęście sam ten dziennik nie długo mógł wytrwać pod ciężarem kar pieniężnych i sądowych prześladowań. Nastąpiły długie lata, w których Razona cierpliwie i z godnością znosił wszelkiego rodzaju niedostatki. Wreszcie Francja zaczęła swobodniej oddychać. Pojawiły się nowe radykalne dzienniki: *Droits de l'Homme*, *Radical*, *Mot d'ordre*, *Marseillaise*, które wezwały genewskich wygnańców do współpracownictwa. Odtąd Razona urządził się skromnie, ale dostatecznie. Życie jego upływało wymierzone regularnie jak poruszenia skazówek. Miał żołnierskie we wszystkiem nawyknienia, gdyż czternaście lat przebył w obozie pod skwarnem niebem Afryki. O piątej godzinie po południu pojawiał się codziennie w Café du Nord i pykał sobie powoli z fajeczki, wypijając małemi toastami swój kieliszek piołunówki. Właśnie kiedy w zeszłym roku 29. czerwca przyszedł o zwykłej porze do kawiarni, zrobiło mu się źle. Odwieziono go do domu, i tegoż dnia Razona umarł. Pogrzeb odbył się 2. lipca w stuletnią rocznicę śmierci J. J. Rouseau; orszak więc przechodził wśród ulic ukwieconych, popod chorągwiami szeleszczącemi, przez bramy tryumfalne. Wielki Genewczyk, zmarły w zapomnieniu we Francji uświetniał teraz pogrzeb wychodźcy Francuza, zmarłego w jego mieście rodzinnem.

„Nie wolno nam, powiada Arnould, sądzić człowieka politycznego. Lecz mamy prawo sądzić człowieka prywatnego, mamy prawo powiedzieć, że był to najlepszy z pomiędzy nas w Genewie, że pozostawia pomiędzy wychodźcami próżnię niezapełnioną, że był dobry i poświęcający się, więcej niż to, prosty w dobrocie, prosty w poświęceniu, prosty w życiu, prosty w bohaterstwie, prosty w tej powolnej agonii, próbie charakterów, którą wygnaniem zowią“.

Bardzo ważne znaczenie dla naszej historji ma dwutomowe dzieło księcia de Brogli'ego (Paris 1878) p. t. *Le secret du roi* (tajemnica króla), napisane żywo, malowniczo i z wielką znajomością swego przedmiotu. Już dwanaście lat temu w 1868 r. Boutaurie, wydając tajną korespondencję Ludwika XV z hrabią de Brogli'em w sprawie zagranicznej polityki, odsłonił nie znane przedtem sprężyny i powody często sprzeciwiającej się samej sobie dyplomacji francuskiej w sprawach polskich przed pierwszym rozbiorem naszej ojczyzny. Nieznane mu wszakże były najważniejsze dokumenty, t. j. szczegółowe sprawozdania wtajemniczonych ambasadorów i dawane im szczegółowe polecenia. Bontarie miał przed sobą tylko korespondencję Ludwika XV, który ani czytać, ani pisać nie lubiał.

Początek historyczny dyplomacji tajemnej był następujący. W 1745 r. przybyło liczne grono szlachty polskiej do Francji z missją tajemną ofiarowania korony Jagielonów księciu de Conti, wnukowi tego, który w 1697 r. był już wybrany przez większość narodu na króla. Książę de Conti zwierzył się z tem Ludwikowi XV, a ten obiecał poprzeć jego sprawę. Otwarcie jednak tego czynić nie życzył, naprzód ze względu na ministrów swoich, którzy byli niechętni dla tej sprawy, a powtóre dla tego, że sprzeciwiałoby się to interesom elektora saskiego, którego podtrzymywali u dworu brat jego, książę Maurycy, i księżna Marja-Józefa, żona Delfina. Wystosował więc z własnego gabinetu, pomimo ministrów, potajemne polecenie do rezydenta francuskiego w Polsce, Castera, ażeby ten rozpoczął porozumiewanie z szlachtą polską co do przyszłego wyboru króla. Wkrótce sprawie tej dał szersze rozmiary, wtajemniczając do niej ambasadorów w Sztokholmie, Stambule i Berlinie i wysyłając do Warszawy hr. Karola Franciszka de Broglie'go, któremu polecił główne prowadzenie całej sprawy.

Książę de Broglie zapatruje się na polityczny ustrój dawnej Polski ze stanowiska monarchicznych tradycyj. W każdym razie jednak ciekawym jest sąd światłego i życzliwego nam cudzoziemca. „Przedstawcie sobie—powiada Broglie — półtora miliona szlachty, trzymającej w poddańśtwie całą ludność, przykutą do gleby; wszystkich członków tej demokracji szlacheckiej prawnie równych sobie, wszystkich z wyciągniętą lancą lub mieczem w dłoni, wszystkich z równemi tytułami do współubiegania się w rządach rzeczypospolitej; przedstawcie sobie, że każda uchwała mogła tylko zapaść za zgodą jednomyślną, lecz przytem większość zbrojna, zawiązawszy się w konfederację, mogła zorganizować opór, i że wojna domowa należała do zwyczajów uznawanych, jeśli nawet nie do instytucyj prawnych; że króla wybierano w pełnem zgromadzeniu, na które każdy szlachcic przebywał konno i z bronią; że władza, która wypływała z tych toni burzliwych, nietylko była wybieralna, ale nadto warunkowa i używała tylko tych przywilejów, które pozostawiała jej dobrowolnie osobna umowa, odnawiana na początku każdego panowania; że nie było żadnej policji, że istniały tylko pozory stałej armii, lecz za to całe tłumy niekarnych jeźdców gotowe były wystąpić na pierwsze wezwanie; że samą sprawiedliwość wykonywali wybrani ze zwycięzkiego stronnictwa, zasiadając w trybunale z mieczem u boku. Czyż nie przedstawia to politycznego rządu emigracji zwycięzkiej i jakby zakrzepły potok najazdu? U pokolenia koczowniczego, rozrzuconego przypadkowo na przestrzeni bezgranicznej, *liberum veto*, *prawo konfederacji* i *pacta conventa*, te trzy dziwne podstawy konstytucji polskiej byłyby rzeczą najbardziej zwykłą w świecie... Przeciwnie, zastosowane do społeczeństwa osiadłego, w którem ludzie zbliżeni do siebie, muszą spotykać się, mieć z sobą stosunki, żyć spólnie, instytucje te, połączone razem, tworzyły właściwie istotę anarchii.“

A jednak anarchja ta znośniejszą była od scentralizowanej władzy monarchów francuskich. Moglibyśmy to poprzeć historją Taine'a.

B. L.

Kronika tygodniowa.

Lwów dnia 27. lutego.

Najsmutniejszą rzeczą dla każdego piszącego, jest kreślenie nekrologów z urzędu, choćby wychodząc z tej zasady, że „o zmarłych albo dobrze albo nic.“ A jakże tu pominąć milczeniem takiego dostojnika, który skonał z uderzeniem 12ej godziny w nocy z wtorku na środę, i skonał tak wesoło, że daj Boże każdemu tak umierać! Nieboszczyk nasz, karnawał lwowski, w ciągu ośmio tygodniowego żywota swego, tyle położył zasług, tyle zostawił wspomnień i tyle z pewnością długów i to nie wdzięczności, ale prostych lichwiarskich długów, że warto mu przed kasynem mieszczańskim postawić nagrobek z napisem:

Łyknął
Krzyknął
Przewrócił oczyma
I już go nie ma!

Że był hulaką nielada i niszczycielem całorocznych familijnych oszczędności niektórych rodzin, prócz zniszczenia całego zapasu trzewików u szewców naszych, tego mu za złe brać nie można, pomnąć na maksymę, że nie dla samej pracy człowiek żyje. Ale jeżeli spożytkował lekkomyślnie przyszłe oszczędności napełniając zastawnicze zakłady różnego rodzaju fantami, to za to wypadałoby mu nie tylko głowę posypać popiołem, ale wsypać coś innego na pamiątkę. A były takie wypadki, że namawiane przez serdeczne przyjaciółki damy, pozastawiały nawet meble z mieszkania, aby tylko pokazać się w nowej sukni na balu. Karnawał przeszedł, bańka chwilowych rozkoszy tylko się mignęła, a pani siedzi teraz po turecku na pokucie w swoim salonie, a zakłady zastawnicze ogłaszają sprzedaż fantów, zaś żydzi lichwiarze zaczynają już krążyć koło domów polując na marnotrawnych.

W poście, spożywszy słonego śledzia, po którym nie łatwo da się ugasić pragnienie, humor zwykle zaczyna się psuć człowiekowi, i taki nawet kronikarz tygodniowy jak sługa najniższy, ogromną ma chęć do moralizowania.. Darujcie, to są skutki śledzia i niepomiernej ilości wody napełniającej organizm jego...

Moskale dla wyjednania zeznań od więźniów politycznych, bardzo często dają im niemoczone śledzie do jedzenia a wody nic... Dzięki Bogu, tego środka indagacyjnego na mnie nie próbowali, jednakże słyszałem, że nie źle skutkuje, dlatego ile razy czytam treść porządku dziennego posiedzeń Rady miejskiej, a w nim stereotypowe słowa: „Wybór ściślejszy delegata do Rady zarządu fundacji hr. Skarbka“, przychodzi mi na myśl, czyby szanownych ojców miasta nie zaprosić na takiego śledzia, a potem zamknąwszy w sali radnej nie dać wody dopóty, dopuki ów nieszczęśliwy delegat wybranym nie zostanie. Inaczej zdaje się, że Rada miejska nie przyjdzie do ładu z tym nieszczęśliwym delegatem, który podobnie jak odzyskanie sum neapolitańskich figurować będzie w radzieckich pactach conventach przez całe wieki... Ot niech się zapatrują szanowni ojcowie na naszą delegację w Wiedniu; tej nie potrzeba dawać śledzia i wodę przed nią zamykać jak idzie o przeprowadzenie nowelli o podatku gruntowym. Pożalili się trochę na zawód za pokorne służby swoje, pogadali przeciw tej nowelce, machnęli rękami i niepowiedziawszy nawet: „Naj bude jak buwało“, co uważam za wielki błąd konserwatywny, połknęli tę pigułkę jak wiele innych... W tym wypadku i pan minister Ziemiałkowski nie chciał błyszczeć swoją nieobecnością na radzie, ale trzymając się solidarności narodowej, przepraszam, chciałem powiedzieć ministerjalnej, powstawał tyle razy ze swego ministerjalnego krzesła, ile paragrafów mieści w sobie ta niewinna dla Galicji nowelka. Mój Boże, jakaż to odwaga cywilna, co to trudu i zasług dla spraw galicyjskich! I któż to oceni? pewnie, że nie warchoły lwowskie zdemoralizowani secesją...

Jakby dla uświetnienia resztek karnawałowych, a raczej dla odprawienia nabożeństwa za szalejących, zjechali się członkowie Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego i Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego na walne narady o swojej biedzie i kłopotach powszechnych. Towarzystwo Kredytowe jeszcze jako tako: ma dobrą kieszeń i żartuje sobie z całego świata, ale nieszczęśliwe Towarzystwo gospodarskie to w tym roku jęczało i narzekało więcej niż kiedykolwiek.. Posiedzenia jego były nie przerywalną jeremjadą, to na księgosusz, to na taryfy kolejowe, to na redakcję Rolnika, na to biedny stan finansowy, aż w końcu dowiedziało się z ust swojego przewodniczącego p. Abrahamowicza, że wzorowe gospodarstwa psu na budę się nie zdadzą i że wtedy majątek ziemski może dać dochód, jeżeli go się odda w zarząd prostemu ekonomowi.

Dopóki w Dublanach istniało wzorowe gospodarstwo, póty było źle; a w tym roku że oddano zarząd w ręce praktyczne, odrazu znalazł się dochód przeszło trzy tysiące reńskich... Na zwolenników nauki i postępu jakby kto ogniem rzucił; wywiązała się z tego bardzo żywa dyskusja, w której jedni przekonywali drugich, że nie dochód stanowi dobre gospodarstwo, ale stan kultury majątku i nadzieja na przyszłość. Nie jest to wcale nowa u nas zasada w gospodarowaniu, chociaż c. k. Rząd gdy idzie o ściąganie podatków, a robotnicy gdy idzie o zapłatę, nie chcą ich lokować w miejscowej kulturze, jednak miałaby zupełną rację bytu, gdyby naprzykład panowie zarządzający takiemi majątkami, chcieli solidaryzować się z właścicielami i płacę swoją wraz z tantjemą lokowali także w kulturze i przyszłych gruszkach na wierzbie. Znamy bowiem jednego posiadacza wielkich dóbr ziemskich i licznych zakładów fabrycznych, który dochody z tych lokuję w kulturze, ledwie że uniknął bankructwa, gdy jego panowie dyrektorowie pobierający tantiemę gotówką, takie same prawie majątki pokupowali.... Jednak zasada ta w prywatnem gospodarstwie zgubna, nie może się stosować do folwarków przeznacznych na eksperymenta rolnicze. Gdzie tylko zakłady podobne istnieją, tam zawsze dopłaca się do nich właśnie dlatego, że odbywają się tam próby, które nie zawsze mogą przynieść namacalne korzyści, a jednakże dla uczniów muszą być przedsiębrane; zatem brak dochodu, nie dowodzi jeszcze złego gospodarowania, ani bezpożyteczności nauki, do czego zdawało się zdążać przemówienie p. Abrahamowicza. Głos tego pana, jako vice-prezesa Towarzystwa zadaje kłam wszelkim staraniom ludzi dobrej woli o podniesienie u nas rolnictwa, a nawet potrzebie funkcjonowania samego Towarzystwa Gospodarskiego, i jeżeli nie był pustym wystrzałem na efekt dla krótkowidzów, to co najmniej nietaktownem wystąpieniem. Dostało się też i redakcji „Rolnika,“ jedynego pisma gospodarskiego na całą Galicję, które o swoich siłach utrzymać się nie może. Okoliczność ta, musimy przyznać, że zaszczyt robi innym pismom nierolniczym wychodzącym w Galicji, jeżeli istnieją w takich warunkach powszechnego wstrętu do czytania, o własnych siłach podtrzymywane ofiarnością wydawców, którzy zdaje się mniej mają, na to, niż właściciele ziemskiej posiadłości na swego Rolnika.

Na tegorocznym konkursie dramatycznym imienia hr. Fredry, sprawdziły się słowa pisma św. o wielu wezwanych a mało wybranych. Z czterdziestu kilku sztuk nadesłanych komitetowi, znalazło się tylko dwie kwalifikujące się do przedstawienia. Z tych komedja dwuaktowa pod tytułem „Na dwóch stołkach“ była już przedstawianą.

Gdy szał ogarniający umysły podczas karnawału zaczyna torować drogę refleksji, a posypane głowy popiołem przypominają człowiekowi czem jest i czem się stanie, wiadomości o dżumie moskiewskiej podług urzędowych raportów są coraz mniej alarmujące. Tymczasem europejska komisja sanitarna, o ile się z jej telegramów można domyślić, nie wiele doznaje opieki od władz tamtejszych, które nie mają ochoty wtajemniczać obcych w wewnętrzne porządki swego kraju. Dotąd siedzi ona w Carycynie i nie widziała żadnego zadżumionego człowieka; być może nawet że go nie zobaczy, bo Moskale potrafią doskonale przez ten czas chorych uprzątnąć razem z Wetlanką i innemi wsiami a nawet zawieźć delegatów do takich miejsc, które się nigdy przedtem Wetlanką nie nazywały. Z doniesień p. Biesiadeckiego dotąd wiemy tyle, że 26. lutego miał wyjechać z Carycyna na odszukanie zadżumionych i że kupił sobie powóz, zapewne dlatego, że Moskale chcieli go poznajomić ze swojemi kibitkami, na których, jak wiadomo, siedzi się nogami do góry a głową na dół, i to w tak płytkiem pudle, że cokolwiek silniejsze wstrząśnienie wyrzuca i woźnicę i pasażera na ziemię.

Szanowni czytelnicy, nie życzę wam nic złego, ale z obowiązku kronikarza uwiadamiam, że czekają was przez cały post sprawozdania z odczytów i koncertów... Zapowiedzi dotąd nie wiele, jednak mówię wam, czuć je w powietrzu jak nadchodzącą burzę, daleko pewniej niż dżumę i tyfus... Przygotujcie więc uszy wasze, niech z rezygnacją odpokutują za wszelkie grzechy nóg podczas karnawału. Boże zmiłuj się nad nami i spraw, abyśmy nie cierpieli więcej aniżeliśmy zasłużyli...

* * *

Jak niewygodną jest rzeczą być recenzentem, może posłużyć odpowiedź pana Dr. Augusta Sokołowskiego panu Klemensowi Kanteckiemu z powodu recenzji tego ostatniego „Listów J. Zbarazkiego“ wydanych przez Dr. A. S. Pan A. S. zarzuca swemu krytykowi: jad, złość, cele osobiste, prostactwo, brak wychowania, rozpacz, wściekłość, paszkwil, ignorancję, cielęcą skórę, niedorzeczność, brak bystrości umysłu, brak krytycznego zmysłu, nieuctwo, beocką prostotę ducha, gołębią naiwność, bałamutność, głęboką ignorancję (ta musi się różnić od zwykłej ignorancji, którą p. A. S. już wyżej zarzucał), brak talentu, nie poznanie się na pięknościach tłumaczeń p. Zatheya, niedorzeczność, zajmowanie się korektą, brak wstydliwości autorskiej, korzystanie

z prac Tarnowskiego, nieukończenie gimnazjum, pracowanie w handlu księgarskim, pisywanie recenzji muzycznych, ukrytą złość do książek drukowanych w Krakowie, poszarpanie Kalickiego, pokąsanie Tarnowskiego, niezwykłą śmiałość w rzuceniu się na p. A. Sokołowskiego (t.j. napisanie o jego pracy recenzji), które już jest najwyższym szczytem grzechów p. Kanteckiego. Powyżej przytoczonych epitetów p. Sokołowski nie żałował, powtarza je po kilka i kilkanaście razy. Czy p. Sokołowski przekonał kogo że jego praca jest dobrą? Wątpimy. Pismem, które tę replikę p. A. S. wydrukowało, jest *Dwutygodnik naukowy* poświęcony archeologji, historji i lingwistyce. Praca p. A. S. należy zapewne do ostatniej kategorji.

* * *

Konkursowi imienia Fredry nie powiodło się w tym roku wcale.

Z kilkudziesięciu sztuk nadesłanych polecono do grania zaledwie dwie i to tak krótkie, że nie zapełniają całego wieczoru, więc pierwszej nagrody otrzymać nie mogą.

Pierwsza z tych sztuk „Na dwóch stołkach“ przedstawioną została w bieżącym tygodniu. Publiczność widocznie interesuje się konkursem, bo teatr był prawie pełny, co się tak rzadko zdarza w bieżącym sezonie. Sama sztuka, rzecz dziwna, była po wystawieniu narażona na tak różnorodne krytyki, jak żadna z dotychczasowych. Wszystkie epitety od „licha“ do „bardzo dobra“ sypały się w całej gammie przejściowej.

Według naszego zdania rzecz to wcale nie zła, a talent autora niezaprzeczalny. Nie można jednak brać sztuki, jako rzecz traktowaną w stylu poważniejszym. Ma ona więcej podobieństwa do farsy, charaktery są w sposób karykaturalny przedstawione a jednak całość robi wrażenie serjo, przedstawia bowiem jedną z naszych wad społecznych, tak często na scenie w ostatnich czasach wystawianych, wadę kierowania się w wyborze małżeńskim nie uczuciem, lecz najprostszem wyrachowaniem bez żadnych innych dodatków.

Osnowa sztuki prosta i naiwna. Panna Tumańska, ma narzeczonego nauczyciela, prostego ale uczciwego człowieka. Wtem zdaje się jej, iż o jej rękę chce się starać młody i bogaty obywatel. Kokietuje więc go i stara przyciągnąć, trzymając jednak w rezerwie nauczyciela, na wypadek nieszczęśliwej kampaji. Rezultat, odpowiada przysłowiu: „nie siedź na dwóch stołkach, bo upadniesz.“ I jeden i drugi usuwa się, zostawiając pannę na koszu.

Druga z poleconych sztuk ma być niedługo wystawioną. Ponieważ nikt nie otrzyma pierwszej nagrody, więc podobno zostawioną ona zostanie na rok przyszły, do konkursu na dramat.

* * *

Podajemy bez długiego komentarza urywek bardzo charakterystyczny z korespondencji warszawskiej do jednego z pism tutejszych. Jest tam mowa o odczytach p. Wojciecha Dzieduszyckiego i narzekanie na mały udział słuchaczów, gdy tymczasem na odczyty treści przyrodniczej publiczność licznie się zgromadza. Korespondent powiada: „Już to samo zdaje się u nas jak i u was, wykłady treści przyrodniczej cieszą się w ogóle większem powodzeniem niż humanitarnej. Że zaś taki ogólny zwrot, upodobania sobie nauk przyrodniczych przez społeczeństwo tutejsze, wyziębić w niem może z następstwem czasu ducha patryotyzmu, o tem nawet wątpić nie można (!), dlatego też Moskale na odczyty treści przyrodniczej pozwolenia dają o wiele łatwiej, niż na wykłady „historji, literatury, lub filozofji.“

Naiwność, czy obskurantyzm?

* * *

Czytamy w *Dzienniku Polskim*:

„*Kraków 20 lutego.* Już to Kraków mógłby się obejść bez policji, i dziwimy się bardzo, że ministerstwo nie zwinie tutejszych organów bezpieczeństwa publicznego. Byłaby to oszczędność dobra na dzisiejsze ciężkie czasy, a moglibyśmy sobie tak w Wiedniu jak i w namiestnictwie spać spokojnie, będąc pewni, że tu u nas zawsze znajdą się tacy, którzy czy to z jednych, czy z drugich względów zawiadomią o grożącem niebezpieczeństwie.

Nie tak dawno donosiłem wam o owym księdzu, który złożywszy przysięgę, poszedł w tej chwili zadenuncjować tego, któremu przysiągł; i dzisiaj znów nowy fakt, tem obrzydliwszy, że ten który zdradził, wszedł do jakiegoś towarzystwa socjalistów z ułożonym naprzód planem, aby tam zarobić za jakieś roboty drukarskie, a skończywszy je i wziąwszy grube pieniądze, idzie w tej chwili do policji i wydaje tych, którzy mu zaufali! — Bolesne to i wstrętne pisać o podobnych rzeczach, a tem boleśniejsze, że się to powtarza, że społeczeństwo nie potępi takich denuncjantów, owszem może ich wynagrodzi za to!“

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu* ogłasza konkurs na dzieło: "Pogląd na dzieje Słowian wschodnio-północnych między Elbą a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownią dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.“ Praca powinna zawierać najmniej 25 arkuszy druku. Nagroda 1.500 marek. Praca pozostaje własnością autora. Ostateczny termin nadsyłania do 1. października 1879 roku. W razie gdyby żadna praca nieodpowiadała w zupełności warunkom, Towarzystwo podzieli nagrodę między najlepsze z nadesłanych.

⁂ Toż Towarzystwo ogłasza drugi konkurs na komedję obyczajową o dążności moralnej, wytykającą śmieszności lub wady obecnych czasów, najmniej w 3 aktach zdolną zapełnić cały wieczór. Nagroda wynosi 900 marek. W razie gdyby komisja nie uznała żadnej pracy godną powyższej nagrody, kwota 900 marek rozdzieloną zostanie pomiędzy sztuki względnie najlepsze. Termin nadsyłania do 1. października 1879.

⁂ *Kraje kultury w starożytnej Ameryce* napisał A. Bastian (po niemiecku). Pierwsze dwie części obszernego dzieła, poświęcone są badaniom kultury Inkasów; dalej jest mowa o pierwotnej ludności staro amerykańskiej. Autor odszukuje zabytków mowy, religji, sztuki, wymierającego plemienia.

⁂ Rocznik literacki na rok 1878/9 wyszedł z druku.

⁂ Pan Kazimierz Morawski skreślił studjum o Lucyljuszu pisarzu rzymskim z czasów Rzeczypospolitej.

⁂ „Teorja wyznaczników“ (determinantów) przez Marjana Baranieckiego, wyszła nakładem Jana hr. Działyńskiego (Paryż).

⁂ P. Matias Bergsou zamierza wydać historję manuskryptów jako przyczynek do dyplomatyki.

⁂ W. A. Górski przełożył i wydał: „Mąż płaczący“ Wiktoryna Sardou.

⁂ P. Zinsberg ogłasza prenumeratę na „Przewodnik przemysłu i handlu krajowego.“

⁂ Przewodnik opisowo-porównawczy do wyuczenia czytania i pisania po polsku wszystkich do rosłych i dzieci w krótkim czasie,“ z illustracjami, przez M. J. Konstantynowicza. (Warszawa).

⁂ Pan Justyn Wojewódzki wydał broszurę „Stanisław Wawrzyniec Staszic, jako założyciel Towarzystwa Rolniczego Hrubieszowskiego i jako autor Ziemorodztwa, założyciel górnictwa krajowego.“

⁂ „Tydzień Piotrkowski“ przytacza iż w roku 1866 w tem mieście na ogólną liczbę 11,500 miesz. ambonowano 350 egz. pism perjodycznych, w r. 1872 997, w r. 1877 już 1,321, a w 1879 było już 1,901 a w tej cyfrze 1,580 polskich; miejscowego dziennika „Tydzień“ wychodziło na miasto 299, na wieś 300 egzem.—Cyfry te rzucają światło na podniesienie się oświaty u nas pod zaborem moskiewskim.

⁂ Wyszedł pierwszy zeszyt czasopisma „Inżynierja i budownictwo.“

⁂ W dzienniku Echo rozpoczęto powieść Piotra Jaxy Bykowskiego: „Jełowiczowie Bukojemscy, historja prawdziwa dawnej rodziny i kawałka ziemi.“

⁂ Wiktor Hugo pisze „La Pitié suprême.“

⁂ Znany włoski pisarz Ruggero Bonghi napisał portrety współczesnych, a między tymi Cavoura, Bismarka, Thiersa.

⁂ W Birmingham spłonęła biblioteka Instytutu Midland, zawierająca największy zbiór dzieł Szekspira.

⁂ W Anglii w roku 1878 wydano w ogóle 3,730 nowych książek i ogłoszono 1,584 nowych wydań. Z nowych książek 531 są treści teologicznej, 424 odnoszą się do oświaty, 319 zawierają pisma dla młodzieży i powieści, 447 nowelle, 93 zajmują się nauką prawa, 133 gospodarstwem społecznem, handlem i przemysłem, 119 sztukami pięknemi i umiejętnościami, 147 geografią i podróżami, 312 historją, życiorysami i t p., 200 obejmują poezje i dramy, 225 jest roczników i pism perjodycznych, 176 dzieł lekarskich i chirurgicznych, 409 listy belletrystyczne szkice i t. d., 135 są rozmaitej osnowy.

⁂ W znanej Bibljotece Reclama w Lipsku, wyszło tłómaczenie „Najświętszej rodziny,“ Zaleskiego, przez Alberta Zipper.

⁂ Katolicka misja w Adrjanopolu przełożyła na język bułgarski: Mały katechizm i większy, Historję kościoła ks. Delerta, Przygotowanie do śmierci S. Al. Liguori, Miesiąc Marji, Pedagogikę Kelnera, Geometrję Niewęgłowskiego, Gramatykę francuzką Ploetza. Książki te będą drukowane.

⁂ W Bibljotece Reclama wyszła w przekładzie „Kolokacja“ Józefa Korzeniowskiego. tłómaczył F. Loebenstein.

⁂ P. Bronisław Reichman, naturalista, bawiący obecnie w Irkucku, zamierza z wiosną wyruszyć w podróż do Chin i Japonji.

⁂ Warszawskie Towarz. lekarskie zajęło się opracowaniem dzieła o dżumie. Dr. Kośmiński skreślił rys historyczny, Dr. Łuczkiewicz objawy choroby, Dr. Kondratowicz streścił rozprawy Towarz. lekar. petersburgskiego.

⁂ Nowe dzieło Semiradzkiego „Taniec starożytnych Rzymian“ nabył hr. Aleksander Lubicz Orłowski z Jarmoliniec.

⁂ Nowy obraz Matejki „Bitwa pod Warną“, jest płótnem małych rozmiarów i przedstawia króla Władysława, broniącego się rozpaczliwie przed śmiercią; obraz ma być wystawiony w lutym w Warszawie.

Szkoły.

⁂ W Warszawie zdajduje się 12 szkół jednoklasowych męzkich, ośm żeńskich; w nich uczy się 2.200 dzieci; na utrzymanie wydaje się rs. 27.967 kop. 50, w czem ze skarbu rs. 8.919 kop. 50 a z kasy miejskiej rs. 19.048; szkół zaś rzemieślniczych jest 12, z czego 2 czteroklasowe, 4 trzyklasowe, 3 dwuklasowe i 3 jednoklasowe. Mają jeszcze otworzyć 2 elementarne i 1 rzemieślniczą, a magistrat ma się także przyłożyć do utrzymania szkoły handlowej.

⁂ Szkoła dla idiotów na wzór istniejącej w Rzymie ma być założoną w Petersburgu.

Prasa perjodyczna.

⁂ W W. Ks. Poznańskiem wychodzi na ten rok 21 pism polskich: w Poznaniu codziennie: *Dziennik Poznański, Kuryer Poznański, Goniec Wielkopolski*; trzy razy tygodniowo: *Orędownik*; tygodniowo: *Ziemianin, Warta, Niedziela, Gwiazda, Oświata, Lech, Tygodnik powieści*; co dwa tygodnie: *Ruch* społeczno ekonowiczny. W Toruniu: codziennie: *Gazeta Toruńska*, tygodniowo: *Przyjaciel i Gospodarz*. W Chełmnie: *Przyjaciel ludu*, tygodniowo; w Pelplinie: *Pielgrzym*, tygoniowo; w Bytoniu: *Gazeta Górno-Szlązka*, trzy razy tygodniowo i *Postęp rolniczy*, co dwa tygodnie w Hucie Królewskiej: *Katolik*, tygodniowo i *Monika*, miesięcznie wychodząca.

⁂ Serbska Skupczyna postanowiła d. 29. grudnia przedłużenie prawa, ograniczającego wolność druku, oraz zatrzymanie cenzury dla dzieł drukowanych i dzienników zagranicznych do d. 1. stycznia 1880 r.

Wiadomości przyrodnicze i podróże.

⁂ Hr. Wilczek i porucznik Wyeprecht zamierzają w roku przysłym przedsięwziąć wyprawę do północnego wybrzerza Nowoj-Zemli, celem badań przyrodniczych.

⁂ Według doniesienia generała Fredericks'a, generał-gubernatora Syberji Wschodniej, parostatek Vega z szwedzkiej wyprawy Nordenskjölda, został przez lody ściśnięty w odgaleniu 40 mil około od przylądku Wschodniego (Ostcap).

⁂ Sygurd Wiśniowski, znany dobrze czytelnikom „Tygodnia", wyjechał znowu do Ameryki.

Wiśniowski, podróżnik z krwi i kości, marzył od dawna o wyprawie do gorącej Hiszpanji i właśnie miał ją przedsięwziąć, gdy nagły interes powołał go za morze.

Z Nowego-Yorku, dokąd już dąży, uda się Wiśniowski do Minnessone a później odwiedzi Meksyk, Kubę i Panamę.

Gospodarstwo i przemysł.

⁂ W Rydze w czerwcu ma się odbyć wystawa rolnicza, z oddziałem malarstwa (!)

⁂ Spółka młodych techników zakłada w Warszawie fabrykę sztucznego filcu, z którego wyrabiają się kapelusze, pantofle, ciżmy, filtry i t. d.

ROZPACZ ZEGARMISTRZA.

Nowella

Nazywał się Karol Schulze, a był jednym z pierwszorzędnych zegarmistrzów w Berlinie.

Około 1869 roku opanowała go szlachetna ambicja.

Pewnego mianowicie poranku, wydobywszy się z objęć pierzyny, przy pierwszej zaraz szklance kawy uczynił silne postanowienie:

— Oddawna już — mówił sam do siebie — jesteśmy na łasce i niełasce przemysłu francuskiego; ale dłużej tak być nie może! Nieporadność nasza ujmę przynosi naszym twórczym zdolnościom; pokażmy światu, że możemy obejść się bez wyrobów Barbedienné'a i innych Francuzów. Założę fabrykę bronzów, a ręczę że nie zabraknie mi nigdy treści do odpowiednich kompozycji i gustu do ich wykonania.

Pomyślano, zrobiono; jako człowiek obrotny a przytem zamożny; zabrał się bez straty czasu do dzieła: z różnych okolic Niemiec posprowadzał rysowników, snycerzy, giserów i cały sztab pracowników niezbędnych do postawienia zakładającej się fabryki odrazu na stopie mogącej rywalizować z podobnemi zakładami francuskimi.

Fabryka miała już być w ruch puszczoną, kiedy wybuchła wojna!

Schulze należał do landwery.

Miał on pięć córek.

Katarzynę, Elżbietę, Matyldę, Joannę i najmłodszą, ukochane dziecko, noszącą toż samo imię co matka, Gretchen.

Wszystkie były już zamężne:

Najstarsza za piwowarem Gotliebem Salzenhausen.

Druga z rzędu dostała się krawcowi Wilhelmowi Spitzer.

Trzecią poślubił kupiec korzenny Fric Müller.

Czwartej małżonkiem był szewc Ferdynand Lehman.

Piąta wreszcie uszczęśliwiła swą ręką wraz z posagiem rzeźnika Franca Kramera.

Wszyscy zięciowie, jako pochodzący z tego samego co ich teść brandeburskiego miasteczka, powołani zostali do jednego z nim pułku.

Kiedy wręczono każdemu z nich wezwanie, patryarchalnym obyczajem zebrała się cała rodzina pod ojcowskim dachem.

Karol Schultze, ambitny i pomysłowy zegarmistrz, uściskał swoją żonę, Gretchen, starszą.

Piwowar Gottlieb Salzenhausen uczynił toż samo z małżonką swą, Katarzyną.

Krawiec, Wilhelm Spitzer, złożył długi jak berliński łokieć, pocałunek na czele połowicy swej Elżbiety.

Kupiec korzenny, Müller, ucałował słodką jak rodzynek, Matyldę.

Szewc, Lehman, który z okazji stanu wojennego, od tygodnia już poniedziałkował, przytulił do rozżalonego serca swego nie szpetną jeszcze Joannę.

Benjaminek rodziny, urocza i niebieskooka Gretchen o mało ducha nie wyzionęła w serdecznym uścisku barczystego małżonka swego, rzeźnika Kramera.

Następnie, wszyscy zięciowie, wraz z teściem, pospieszyli na brzegi Renu, gdzie ich powinność obywatelska i wola Żelaznego księcia wzywały.

Kiedy stanęli na kresach niemieckiego Vaterlandu, zegarmistrz-landwerzysta, przemówił uroczyście do landwerzystów-zięciów swoich:

— Meine Herren! Dzienniki francuskie krzyczą: „do Berlina!" My wykrzyknijmy: „do Paryża!" i usiłujmy gruntownie zbadać Francję, ojczyznę zegarów i zegarków!

Pod Wissenburgiem, pod koniec walki, zuaw jakiś nadział na bagnet Gottlieba Salzenhausera, jakby motylą na szpilkę.

Schulze stał w odległości najwyżej dwudziestu kroków.

— Biedny Gottlieb! — zawołał. — Jaki to śliczny będzie „sujet" do postumentu pod zegar stołowy!

Pomysłowy zegarmistrz berliński, mimowolnie nauczył się przeplatać swą mowę wyrazami francuskimi.

Pod Gravelotte, Wilhelm Spitzer zamierzył się szablą na dragona, ale w tejże chwili Francuz wystrzałem z rewolweru położył go trupem na miejscu!

— Herr Gott! — zawołał Schulze — biedny Wilhelm przez miłość dla Elżbietki, scenę jego śmierci wezmę za „sujet" do postumentu.

1. września, pod Sedanem, ostatnia kula francuska przypadła w udziale trzeciemu zięciowi berlińskiego fabrykanta zegarów.

Kula przeszła na wylot i kupiec Müller pozostał nieruchomy, oparty o drzewo, pod którem szukał schronienia.

— Herr Gott! — zawołał po raz trzeci Schulze — biedny Fryc! Jaki to ładny „sujet" na zegar do gabinetu jeneralskiego!

W orleanie podobny los spotkał szewca Lehmana.

Piąty zięć barczysty Franc Kramer, zginął w parę tygodni później od kuli franc-tireura.

I w obu tych wypadkach, tak samo jak przy śmierci trzech poprzednich zięciów, pan Schulze nie zaniedbał głośno objawić swej boleści:

— Qué malhir! Herr Gott! biedny Ferdynand! biedny Franc! będą z nich dwa przepyszne kominkowe zegary!

Jak widzimy, Karol Schulze robił niezmierne w języku francuskim postępy.

Po niejakim czasie, już w roku 1871, wojska niemieckie przekroczyły Ren, z powrotem.

Spiesząc pod zagrodę domową, zegarmistrz Schulce rozmyślał bezustannie o pięciu poległych zięciach i towarzyszach broni. Naturalnym biegiem rzeczy, musiał następnie wspomnieć i o pięciu swych córkach, wdowach.

Nagle świetna myśl przyszła mu do głowy:

— Pięć wdów, sióstr rodzonych! wyborny przedmiot! zrobię z nich zegar i dwa świeczniki cyzelowane.

Był to rzeczywiście pomysł godny niemieckiej twórczości!

Karol Schulze przybył nareszcie do Berlina i z bijącem ze wzruszenia sercem zapukał do drzwi mieszkania swego przy Kanonierstrasse.

Magazyn jego znajdował się na Fridrichstrasse, nowo założona zaś, a nieczynna dotąd fabryka bronzów, na jednem z odleglejszych przedmieść.

Było to już późnym wieczorem.

— Kto tam? — dał się słyszeć zewnątrz głos pani Schulzowej, Gretchen starszej.

— To ja, Karol.

Gretchen starsza otworzyła drzwi i wpadła w objęcia dawno niewidzianego małżonka.

W pokoju świeciła się tylko lampka nocna.

Zmieniony niewygodami i podróżą, Schulze postąpił kilka kroków podpierając się karabinem. Była to iglicówka, broń godna zegarmistrza.

Naraz rozległ się brzęk szkła stłuczonego.

— Co to jest?

— Nic, stłukłeś tylko szkło od zegara.

— To wy teraz zegary na ziemi stawiacie? — zawołał zdumiony i oburzony Schulze.

— Stawiamy je gdzie można, bo w magazynie zbrakło już miejsca.

Skoro Gretchen zapaliła świecę, dziwny a niespodziewany widok przedstawił się oczom osłupiałego zegarmistrza.

Całe mieszkanie przepełnione było zegarami: na ścianach i na szafach, na biurku i na komodzie, na stołkach i stolikach, na podłodze i pod łóżkami, wszędzie pełno ich było, natłoczonych jeden na drugim.

A były to zegary najrozmaistszych kształtów, najróżnorodniejszych stylów, najozdobniejszych i najpospolitszego użytku. Zegary bronzowe i marmurowe, srebrne i wyzłacane; ścienne i stołowe, salonowe i gabinetowe, zegary na kominek i do sypialni; kwadratowe, podłużne i okrągłe; głośne i ciche; wydzwaniające godziny tylko, lub godziny i kwadranse, budziki repetjery; z wahadłami widocznemi i bez nich; szafkowe i z klonami; wskazujące minuty i sekundy, a nawet i antyki pokazujące rok, miesiąc i dzień bieżący,

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Schulze.

Gretchen poniosła chustkę do oczu i zalała się łzami.

Nakoniec po długiej pauzie przemówiła rozrzewnionym głosem:

— To nasi biedni zięciowie, w miarę posuwania się w głąb Francji, przysyłali mi na pamiątkę te zegary, prosząc żebym ci o tem nic nie pisała.

Karol Schulze nic nie odpowiedział i odszedł na górę do swego pokoju.

Widocznie zięciowie literalnie spełnili jego zlecenie, wyrzeczone nad brzegami Renu:

„Gruntownie „zbadali" Francję, ojczyznę zegarów i zegarków."

Gretchen, pojmując boleść mężowską, obudzoną takiemi wspomnieniami, położyła się również spać, a wkrótce głęboka cisza zapanowała nad królestwem zegarów.

Następnego poranku o zwykłej godzinie, przy podobnych warunkach i w takiem otoczeniu, punktualność nie jest wielką zasługą, punktualna gosposia zapukała do pokoju swego męża.

Drzwi były na klucz zamknięte.

— Karolu, otwórz — wzywała go — kawa już na stole!

Żadnej odpowiedzi.

— Um Gottes Willen! otwieraj Karolu!

Sakramentalne „herein" i teraz nie przerwało grobowej ciszy sypialni.

Przestraszona Gretchen zaczęła wołać o pomoc.

Nadbiegli sąsiedzi i wyważono drzwi.

Okropny widok!

Na haku od zegara po nad łóżkiem wisiało martwe ciało Karola Schulze, który prawdopodobnie z taką gwałtownością rzucił się w wieczność, iż prawie zupełnie już zimny trup jego, kołysał się jeszcze w prawo i w lewo, jak olbrzymie wahadło.

Na stoliku obok łóżka leżała kartka mieszcząca w sobie te kilka wyrazów skreślonych ołówkiem:

„Przemysł zegarmistrzowski zabity w Niemczech na zawsze! Nie mam tu już co robić; umieram!

Karol Schulze."

Treść Nr. 5.

str.
Bank hipoteczny krajowy. II. . . . 65
Hania. Powieść przez Litwosa. (c. d.) . . 66
Leon Sapieha przez Karola Widmana (dok.) . 68
Drogi życia. Powieść szwedzka przez Carlina. (c. d.) 69
Awanturnicza wyprawa do Chiwy. Burnaby'ego. (c. d.) 71
Tajemnica. Wiersz, napisał Trojan . . 73
Cisza wieczorna. Wiersz, napisał Trojan . 73
Jej dusza. Wiersz, napisał Władysław Bełza . 73
Dzieci Heleny. Powieść, przekład z angielskiego (c. d.) 73
Głosy prasy warszawskiej o naszych stosunkach 74
Korespondencje: Genewa. (dok.) . . 76
Kronika tygodniowa. 78
Wiadomości z kraju i ze świata. . . 79
Rozpacz zegarmistrza. Nowella. . . 80

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki